Nr. 45. **9 Listopada 1906 r.** **Rok II**

POLAK W BRAZYLJI

Pismo tygodniowe -- dla wszystkich --

WYCHODZI W KAŻDY PIĄTEK W KURYTYBIE. WYDAWCA *KAZIMIERZ WARCHAŁOWSKI.*

1019 1013 1017 1020

POLAK W BRAZYLJI
kosztuje:

Rocznie . . . . 8 milr.
Półrocznie . . . . 4 milr.
Za granicą — 10 milr.

Numer pojedyńczy kosztuje 200 rs.
Drobne ogłoszenia po 200 rs. za wiersz lub ego miejsce.

Adres dla listów i przesyłek pieniężnych:

„POLAK W BRAZYLJI“

Caixa postal Nr. 122

CURITYBA — PARANA — BRAZIL

UWAGA. — Przesyłki pieniężne wszelką korespondencję do Redakcji należy adresować, jak podano wyżej, — BEZ DODAWANIA JAKIEGOKOLWIEK NAZWISKA, gdyż adresowanie imienne sprowadzić może niepożądane opóźnienia w odbiorze listów. —

PRENUMERATĘ „POLAKA W BRAZYLJI“ przyjmują na warunkach redakcyjnych p. p.: Bolesław Kłossowski — Ponta Grossa, Wojciech Troczyński — S. Matheus, Józef Dytz—Ijuhy, Paweł Tymoteusz Wielewski — Lucena, Paweł Miecznikowski — Rio Claro, Antoni Jakubowski — Agua Branca, Józef Brudziński — Rio dos Patos, Józef Sadowski — Św. Barbara, Wincenty Hamerski—Guarani, Władysław Szulczewski — S. Feliciano.

Redakcja mieści się przy ulicy:

COMMENDADOR ARAUJO (Matto Grosso) Nr. 60.
TELEFON N. 167

Redakcja otwarta codziennie od 8 rano do zmroku,

W NIEDZIELĘ REDAKCJA ZAMKNIĘTA

SKĄD SIĘ BIERZE NIECHĘĆ DO KSIĘŻY I OBOJĘTNOŚĆ DLA RELIGJI?

— —

Niemieckie pismo katolickie i księżowskie „Oberschlesische Volkszeitung“ tak pisze:

„Jeżeli polak, umiejący tak dobrze po niemiecku jak po polsku, przez złośliwość chciałby się modlić tylko po polsku — co jest prawie nie do uwierzenia — natenczas jego modlitwa nie odnosi żadnego skutku, jest nawet wprost grzeszną, ponieważ brak jej lojalnego (to jest takiego, jaki podoba się rządowi) sposobu myślenia“.

Czy przeczytawszy powyższe słowa myślący czytelnik może nie nabrać nienawiści do księży, nie stracić do nich zaufania, nie lekceważyć zalecanych przez nich praktyk religijnych?

Jak to? — pomyśli sobie każdy — to Pan Bóg każe w takim języku się modlić, w jakim się podoba Wilhelmowi, Mikołajowi, Franciszkowi, lub jakiemu innemu satrapie? To w takim razie Bóg nie jest Bogiem, Panem i Stwórcą, a tylko, jak wy, księża, tłómaczycie, policjantem Wilhelma, bo pilnuje, by się modlono w tym języku, który się Wilhelmowi podoba, a modlitw, wypowiedzianych w innym języku, choćby one były najserdeczniejsze, nie przyjmuje? — Po cóż więc Pan Bóg stworzył inne narodowości i języki, kiedy tylko w języku Wilhelma przyjmuje modły? Mimowoli nasuwa się myśl, że albo Pan Bóg nie jest doskonały, kiedy nie kocha tego, co stworzył, albo też ci, którzy głoszą taką naukę, jakiej próbkę wyżej zamieściliśmy, są kłamcami, zdrajcami swego powołania, służkami możnych, ogłupicielami i oszustami ludu.

Każdy wie, że Bóg jest doskonały, że jest Ojcem i Stworzycielem świata, więc też nie może być jednocześnie policjantem i sługą jakiegoś tam niemieckiego carzyka; a więc księża, którzy głoszą, że modlitwa w języku nierządowym jest grzeszna, są kłamcami i zdrajcami swego powołania. — Lud to widzi i czuje i dlatego coraz bardziej odsuwa się od nich, pogardza nimi, traci wiarę w słowa przez nich głoszone — i inaczej być nie może. Dwom panom służyć nie można: a że księża służą mamonie, t. j. możnym tego swiata, więc też lud, służący Bogu, odwraca się od nich i coraz bardziej ma ich w nienawiści, pogardzie i lekceważeniu.

Tak, „ojcowie duchowni“, albo mamonie, albo Bogu! — Wy jednak wolicie mamonę, bo ona jest zaraz na ziemi i zaraz ją można zużytkować na rozkosze tego świata—a służenie Bogu pozostawiacie ludowi. Jak pomiędzy sługami dwuch wrogich sobie panów zgody być nie może, tak też pomiędzy Wami i ludem nie może być nic spólnego.

W. K.

Rodacy!

Każdy dobry polak, który uznaje za słuszne poglądy „Polaka w Brazylji“, powinien nie tylko czytać to pismo, lecz także wszelkimi siłami starać się o rozpowszechnianie go między rodakami.

Tylko w oświacie i postępie jest nasze zbawienie narodowe!!

Bibl. Jagiell.
1967 K 2176/6

Szarańcza i jej tępienie.

OPRACOWAŁ

Wacław Napolski.

II.

TĘPIENIE SZARAŃCZY.

Rozwodziłem się dlatego nad zwyczajami szarańczy i jej życiem, aby z tego wyciągnąć sposoby tępienia owadu w warunkach klimatu parańskiego płaskowzgórza. Stosownie do tego, co mamy zwalczać, tępienie się musi stosować:

1. Do niszczenia tylko co spadłej szarańczy skrzydlatej, silnej i zwinnej.
2. Do tępienia pieszych wojsk owadu.
3. Do tępienia jaj szarańczy zakopanych do 2 cali w ziemię.
4. Do tępienia wylęgłego z jaj niedołężnego potomstwa, nim ono zdąży stać się żwawszą szarańczą pieszą lub skrzydlatą i dojrzałą.

We wszystkich wypadkach tych pojedyńczy człowiek, a nawet liczna rodzina niewiele wskóra.

Ta klęska daje nam naukę, że porządnie zorganizowana gromada — to ogromna siła.

Niżej też podamy wzór podobnej organizacji zaczerpniętej skądinąd i oparty na doświadczeniu walki ze straszną klęską.

Niszczenie tylko co spadłej szarańczy skrzydlatej, silnej i żwawej.

Gdy żadne odstraszanie zgłodniałego i zmęczonego owadu nie pomoże, wówczas myśli się o tępieniu go, do czego służą różne sposoby stosownie do tego, gdzie owad upadł, oraz środków, które się przygotować zawczasu zdołało.

Jednę rzecz trzeba zapamiętać: Zorganizowaną pomoc rozumnie użyć. W dzień ciepły, za słońca szarańcza jest czujna i zwinna, to czas na przygotowania do tępienia jej; o zachodzie słońca, gdy jest ociężała po nażarciu się, oraz nad ranem, gdy ziębnięta jest jakby obumarła.

Ludzie więc, którzy mają walczyć z klęską niech dobrze wypoczną w czasie obiadowym, aby zachować siły do ciężkiej, wytrwałej walki, pod wieczór i w nocy.

Niech w ciągu dnia przygotują i oprawią na kije choćby po dwie miotły na każdego robotnika, aby mieć je w zapasie do walki; niech obrabiają kloce niespełna metr długie i nigdy nie dość grube, aby służyły jako wały do gniecenia owadu, do takich wałów zaprzęgają się konie.

Drugie narzędzie konne,—to brona zbudowana w ten sposób z gałęzi kolczastych lub chrustu, że przeplata się materjał, z którego plecie-my takie tymczasowe brony, między dwoma drągami o długości 2 do 3 metrów, do których się je mocno przywiązuje; drągi te są odległe od siebie o kilka cali, a do przedniego przytwierdzona na powrozach stelwaga na parę koni. W odległości jakiegoś metra równolegle od drążków—przytwierdzona mocna deska, na której stoi poganiacz i zarazem ciężarem swoim wciska bronę. Chłopak prowadzi konie.

Dobrze tak przejechać parę razy pole, czy pastwisko, ale to powinno się odbywać tylko nad ranem, skoro się rozwidni, wieczorem lub w dzień słotny, zimny czy mglisty.

Straż uzbrojona w miotły zwyczajne lekkie, chłop przy chłopie o metr oddaleni, tak, aby łatwo dosięgnąć się miotłą mogli bić powinna uchodzące owady, przyczym najwięcej się dostaje samicom, które są głupsze, większe i ociężalsze od samców. Jeśli szarańcza wpadła w zboże, to dobrze jeśli się da wpędzić ją w jedno miejsce, postawić straż, która by jej cofnąć się nie pozwoliła i przekosiwszy odstęp, aby reszta zboża się nie spaliła, wyniszczyć ją ogniem i dymem w części zboża, gdzie się ukryła. Cofającą się straż uzbrojona w miotły niemiłosiernie bić i napędzać winna.

Tępienie pieszej szarańczy.

Dobrze, gdy takie terytorjum, gdzie leży wiele szarańczy, okopać rowem głębokim i szerokim na jaki metr; ziemia winna być wyrzucona na zewnątrz rowu, tak, aby tworzyła wał, gdyby owady z rowu uciekać chciały, gdzieby je deptano i przysypywano ziemią; na każde 3 sążnie rowu trzeba 2 chłopów z rydlem i łopatą. Zamiast łopaty lepsze widły drewniane przeplecione chróstem do bicia owadu. Takie widły przeplatane mniej dają oporu powietrzu i oszczędzają siły bijącego.

I tu wały oraz brony są niezmiernie pożyteczne. Pamiętajmy, że wały mogą zostać jako pożyteczne gromadzkie narzędzie do uprawy roli, które ją chroni od wysychania, kruszy bryły i pozwala na równiejsze przykrycie siewu.

Gdy owad czerwienieje na kadłubie trudno go już spalić, gdyż wydziela on wtedy sok, którym gasi ogień.

Trzeba go więc niszczyć, rychło nie dając mu się rozwinąć.

Do bron i walców nie należy zaprzęgać bydła rogatego, chorują bowiem od odoru, który wydaje gnieciona szarańcza. Konie nawet mogą jeść bez szkody, a nierogacizna tak lubi szarańczę, że nieraz cierpi od przejedzenia, drób niemało też pożre szkodnika, prócz tego różnego rodzaju dzikie ptactwo masami zjawia się za wojskiem szarańczy.

Tam, gdzie owad padł na stawy, należy go wyłowić i zakopać, bo gnijąc zaraża powietrze. Tak było raz w północnej Afryce, gdzie szarańcza spadłszy grubą ławą na morze blizko brzegu była przyczyną morowej zarazy.

Tępienie świeżo lub niedawno wylęgłej szarańczy jest podobne do tępienia wędrownej pieszej, tylko, że wiele łatwiejsze, kiedy właśnie słońce przygrzewa, się odbywa. Rozróżnia się tu 2 wypadki: 1. gdy pole jest paśnikiem albo porośnięte niskim zbożem, wówczas co jakieś 31 do 60 metrów czy kroków dużych 40 do 80 [wielkość jak równie odległość tych jamek zawisła od wielkości owadu] kopie się dołki objętości 4 do 8 kwart, zależy jak dużo jest poczwarek szarańczy. W takie pułapki udaje się płód szarańczy z własnej ochoty, aby się wygrzewać. W dnie pogodne i właśnie, gdy przyświeca słońce, otacza w stosownej odległości tłum ludu zaopatrzony w miotły, gałęzie kije, i łopaty taką jamę dokoła, a postępując wolnym krokiem ku środkowi, to jest ku jamie, napędza do mrówek podobną szarańczę i gdy owad niemal że zapełni jamę, wówczas inni w całe i szczelne wory zaopatrzeni ludzie napychają owad w takowe, odnoszą do osobnego dołu o kilku lub kilkunastu metrach sześciennych objętości, a tam ją ludzie wyłącznie do tego przeznaczeni pałkami miażdżą.

C. d. n.

Porto União da Victoria.

21—X—1906.

¡Szanowny Panie Redaktorze!

Wychodząc z przekonania, że powinniśmy bronić naszych interesów — szczególniej interesów biednej naszej klasy, która tu jak i wszędzie na wszystkie strony jest wyzyskiwana i tak to weszło w zwyczaj, że ci ludzie sądzą się być w prawie obdzierania ich i niech się kto odezwie, to grożą nawet władzami i t. p.

Jednym z pierwszorzędnych obowiązków dziennika jest otwierać oczy tym ludziom, jeżeli tenże niechce należeć do rzędu tych, co się trudnią łapichłopstwem.—Ale zdążam do rzeczy:

Kolej żelazna S. P. Rio Grande zajmuje naszych rodaków przy budowie; dotychczas nikt nie miał ciekawości dowiedzieć się, jak tych kilkuset robotników żyje i w jakich warunkach. Ponieważ każda miara się przebierze, dolewając ciągle; chociaż mię ta kwestja bezpośrednio nie obchodzi, zmuszony jestem ze stanowiska ludzkiego podać do wiadomości naszym rodakom, potrzebującym pracy, perspektywę „świetnych zarobków"—w taki sposób przedstawiają takowe t. z. „empleitery" i administracja tej kolei w União da Victorja. Nie chcę za daleko się rozpisywać sądząc, że raz poruszona kwestja dostarczy danych autentycznych od stron interesowanych bezpośrednio, którzy dali się nabrać na owe „świetne zarobki", niektóre sądzę do wiadomości dostarczyć i wrazie, gdyby chybiały prawdy, upraszam Sz. rodaków lepiej poinformowanych sprostować.

Robotnik pracuje 5 do 8 miesięcy t. j. aż do wypłaty!... Tymczasem musi żyć... ażeby więc mógł żyć dostaje z t. z. „armazem" stosunkowo do zarobionej już kwoty pożywienie w cenie n. p. fiżon po 2$600 do 5$000 za dziesięć litrów. Słonina 1$200 do 3$000 kilo!!... flaszka wódki 1$000 do 1$500 i w tym stosunku resztę. Proste jest, że robotnik, nie widząc 5 do 8 miesięcy wypłaty zmuszony jest wydać prawie wszystko w owym armazemie [składzie.] Obowiązkowo potrącają robotnikowi 40% choćby nic nie wybrał. Klasyfikacja zaś robót kolejowych zależy od złego lub dobrego humoru panów z kompanji. I tak znam jeden wypadek, że empleitero wybrał z armazem 12 tysięcy, robota zaś jego dziwnym zbiegiem okoliczności także wypadła na tę samą sumę!.. w obec tego ów empleitero otwarcie powiedział, że rzuca robotę; ponieważ jednak zależało im na nim, oznajmili mu, że ma zarobionych 14000$000!! — i że to była pomyłka. — Każdemu robotnikowi odciągane jest miesięcznie 2$000 na lekarza i aptekę—obecnie na całej przestrzeni nie ma ani jednego lekarza. W União da Victoria aptekarz wydaje lekarstwa, jednakże żadna recepta nie może kosztować więcej, jak 1$500!!... już z poradą aptekarską!... Parę miesięcy temu przeszło tamtędy kilkudziesięciu robotników, obdartych

bez grosza: piechotą, bo kolei nie mieli czym zapłacić, prosząc o trochę strawy między rodakami tu zamieszkałymi.. niektórzy z nich chorzy... byli z Rio Claro i Prudentopolis.— Empleiterzy prawie wszyscy są włosi z małymi wyjątkami.

Tymi dniami znowu bugrzy zabili czterech polaków na drodze prowadzącej do Palmas; niedawno kilka osób na Timbó, jak już wiadomo, gdzie mają się znajdować w wielkiej liczbie — robią wycieczki do S. João; na trzydziestym którymś kilometrze przepędzili turmę robotników kolejowych. Okoliczności te wyżej nadmienione, nie przedstawiają warunków odpowiednich chociażby najbiedniejszemu koloniście; nie podobna, aby na najgorszym szakrze kolonista nie mógł zarobić dziennie 500 rs. czystego, co przedstawia warunek nieporównanie lepszy.

Wobec tego staraniem naszym być powinno o ile możności, i nikt nam zabronić nie może, ostrzegać naszych rodaków przed wyzyskiem i zwracać uwagę ich na inne źródła zarobkowe. Nie brak między nami jednostek inteligentnych i dwu redakcji polskich, aby się skutecznie oprzeć wyzyskiwaczom polskiej krwawicy w Paranie.

[Od naszego korespondenta].

———

ŚW. BARBARA
dn. 28 — X — 1906.

Szanowny Panie Redaktorze!

Był tu u nas biskup z wielu księżmi, między którymi ks. Chilaszek. I nam tu, jak w wielu innych miejscach, opowiadał Chilaszek o karze bożej, o suszy, o szarańczy — że to wszystko pochodzi z dzielenia się polaków na partje. Do partji bezbożnych Chilaszek zalicza tych, którzy czytają „Polaka“ i należą do towarzystw — jednym słowem wszystkich najporządniejszych obywateli. — Lecz my tu wiemy doskonale, że to tylko takie księże mydlenie oczu ciemnemu ludowi. — Już jeśliby na kogo Pan Bóg miał być zagniewany, to przedewszystkim na to paskudne plemię księże. — Pan Jezus pozostawił sakramenta święte bezpłatnie, a oni handlują nimi. — Pan Bóg stworzył człowieka i dał mu rozum i wolną wolę, a człowiek jest o tyle bestją, że księdza uznaje nie tylko za księdza, swego bliźniego — zwyczajnego człowieka, lecz i za Boga samego; chociaż ksiądz głosi tylko same brudy naprzeciw bliźniemu swemu. Cóż są niektórzy księża? — są złodziejami, oszustami, szarlatanami, pamiętającymi tylko o swoich brzuchach. Zdaje mi się nawet, że prawie wszyscy tacy są. — Powiadają, że człowiek tylko przez chrzest może być zbawiony; alež to zbawienie tylko ten osiągnie, kto ma 5, albo 10 milrejsów. Sam znałem księdza, który grabił po 10$000 za jeden chrzest. Czy to oni tak naśladują Chrystusa. — To faryzeusze i obłudnicy. — To człowiek nie posiadający 5$000 nie może być zbawiony?

(Od naszego korespondenta).

Z całej Polski.

Z WIELKOPOLSKI nadchodzą wieści o coraz dzielniejszym oporze tamtejszej dziatwy przeciwko niemieckiej nauce religji. Opór, z początku słaby, rośnie z każdym dniem na siłach, coraz więcej szkół do opornych należy. Nie pomagają żadne środki: ani bicie, ani przedłużanie lekcji, ani przenoszenie do niższych klas—wszystko jest bezskuteczne.— W jednej ze szkół rzucono bombę napełnioną naftą, która wywołała natychmiastowy pożar budynku. — Wszędzie odbywają się gromadne wiece. — Policja aresztuje, więzi, morduje, lecz to wszystko bezskutecznie. — Wilhelm szaleje ze złości. — Deputowani polscy Grabski i Mielżyński dn. 29 z. m. telegrafowali do ministra wyznań [któremu podlegają szkoły] protestując przeciwko biciu dzieci polskich przez niemieckich nauczycieli; na co minister odpowiedział, że pochwala postępowanie nauczycieli.

Przepisy prawne zabraniają bić dzieci w szkole, minister więc pochwalając w tym wypadku nauczycieli postępuje wbrew własnym, niemieckim, przepisom prawnym. Taki sposób postępowania rządu względem polaków nie jest niczym nowym, należy się tylko dziwić tym panom deputowanym, którzy dotychczas jeszcze wierzą w skuteczność jakichś tam depesz, interpelacji i memorjałów, którzy ciągle jeszcze osłabiają polskie siły, wołając, że musimy stać na gruncie prawnym, legalnym. Jest to głupstwo—nieszczęsne zaślepienie. My jesteśmy polacy i na naszej ziemi polskiej prawa berlińskie, wiedeńskie, czy petersburskie nie są prawami, myśmy ich nie powinni uznawać, a liczyć się z nimi tylko tyle, ile fizycznie do tego zmuszeni jesteśmy. Polscy pankowie chcą ciągle jeszcze odbudować Polskę na zasadzie praw przeciwko Polsce wydanych — oczywiste głupstwo. Musimy raz śmiało powiedzieć sobie: my jesteśmy prawowitymi panami na polskiej ziemi, a wszystkie prawa niemieckie, austrjackie i rosyjskie, są dla nas nie prawami, które się szanuje, jeno przeklętym jarzmem. — Póki Polską politykę będą robili pankowie, liczący się z jakimiś tam złodziejskimi prawami Habsburgów Henenzoterarów i Romanowych, póty Polsce nie marzyć o wolności. Polskę podniesie tylko rewolucja!

POLSKA PARTJA POSTĘPOWA. — W Warszawie zaczęło wychodzić nowe pismo p. t. „Przełom“, jest to organ Polskiej Partji Postępowej. — Jakie jest to pismo trudno jeszcze osądzić, w każdym razie pojawienie się tej partji powitać można z radością, albowiem — jak głosi program — chce ona być postępową, a jednocześnie szczerze polską. Takiej partji oddawna nam było potrzeba — dotychczas bowiem mieliśmy z jednej strony zacofanych narodowych-demokratów, a z drugiej strony partje postępowe, mało liczące się duchem polskim i polską tradycją. Oczywiście ze narodowa-demokracja dąsa się na tę nową partję.

ZJAZDY. — W Krakowie odbyły się dwa ważne zjazdy z całej Polski: Zjazd Górników i Zjazd Prawników i Ekonomistów polskich. W obydwóch zjazdach wzięli udział przedstawiciele wszystkich ziem polskich.

DN. 26 Z. M. aresztowano w Wilnie 26 rewolucjonistów, przy których znaleziono bomby i broń rozmaitego rodzaju.

ZAMORDOWANIE. — Dn. 25 z. m. operujące w Warszawie sądy wojenne zamordowały 3 rewolucjonistów.

SZKOŁĘ GOSPODARSTWA DLA DZIEWCZĄT WIEJSKICH otwiera w Olesku miejscowe Koło T. S. L. Program nauki obejmuje: gotowanie, piekarstwo, szycie, pranie i prasowanie. Ten program, obejmujący najważniejsze działy w zakresie zastosowanym do rzeczywistych domowych potrzeb, rozszerzy się później, gdy tylko okaże się możność wydzierżawienia lub zakupna odpowiedniego gruntu i zabudowania, na: mleczarstwo, chów drobiu i bydła, warzywnictwo i sadownictwo, a nawet obejmie rachunki, hygienę i pedagogję, naturalnie z uwzględnieniem zastosowania praktycznego, wreszcie podstawowe wiadomości z geografji i historji polskiej, z języka polskiego, religji.

Szkoła przyjmuje dziewczęta w wieku od 14 do 20 lat na uczenice stałe i dochodzące. (Stałe opłacają 10 kor. miesięcznie, dochodzące 1—2 k. mies.). Naukę prowadzić będą osoby, które ukończyły szkołę gospodarską.

Inicjatorki tej pięknej myśli, która niezawodnie przyjąć się musi, jeżeli tylko stanie na gruncie niezbędnych potrzeb życiowych ludu wiejskiego, kładą wielki nacisk na przyuczenie uczennic do porządku, czystości, obowiązkowości, dokładności i zamiłowania do pracy i zajęć domowych.

STRAJK GŁODOWY NA PAWIAKU. — W więzieniu na Pawiaku w Warszawie rozpoczął się strajk głodowy, zainicjonowany przez więźniów politycznych, do którego przyłączyła się też część kryminalnych więźniów. Więźniowie żądają ułatwień przy widzeniach się z odwiedzającymi krewnymi (zniesienia krat, częstsze widzenia i td.). Te żądania nie tłumaczyłyby jeszcze chwycenia się tak strasznego środka jak głodzenie; przyczyną wiec strajku są prawdopodobnie ostatnie żądania: żeby uwolniono więźnia politycznego, chorego na suchoty, oraz aby wzięto na komisję lekarską chorego umysłowo więźnia kryminalnego. Dodać należy, że ponieważ Pawiak jest obecnie przepełniony, głodzi się w nim kilkuset więźniów.

KRONIKA ZABÓJSTW notuje zagadkową rozprawę na Saskiej Kępie w Warszawie przy budowie trzeciego mostu. Robotnicy pracujący tam zauważyli przeprawiających się łódką dwóch ludzi, których podejrzewali, iż przybywają z ramienia jednej z partji skrajnych w celu wykonania wyroków śmierci na dwóch robotnikach, należących do innej partji. Wysłali swoją odsiecz w ilości 8 ludzi, tak, że gdy owi dwaj domniemani egzekutorzy, wysiadłszy z łodzi, udali się na poszukiwania swoich ofiar, nagle gruchnęła za nimi salwa rewolwerowa. Jeden z nich padł trupem na miejscu, drugi zaś zaczął uciekać. Rzucono się za nim w pogoń strzelając, zraniono go w nogę. Gdy upadł, dano do niego kilka strzałów, ale kule nie wyrządzały mu szkody, odbijając się od koszulki ochronnej, którą miał na sobie. Wówczas strzelono mu w głowę i usta i zabito. Dokonawszy tego, ośmiu owych ludzi zabrało obu zabitym browningi i powróciło łodzią do Warszawy.

TORTURY. — W miasteczku Zwoleniu w Królestwie Polskim handlarz trzodą chlewną Kwapisiewicz dał swojej żonie do przechowania dwieście rubli, a gdy ich po kilku dniach

zażądał z powrotem, okazało się, że zginęły. Podejrzenie o kradzież padło na parobka Stanisława Szewczyka, a chociaż obwiniony przysięgał się, że pieniędzy nie widział, nie uwierzono mu i poddano torturom. Zebrała się cała rodzina Kwapisiewicza, ubezwładniono parobka, zawieszono go na haku, na którym oprawiano wieprze i zaczęła się straszna egzekucja.

Bito go kłonicą i kłóto widłami, służącymi do wydobywania mięsa z kotła. Nieszczęśliwy, chcąc ujść dalszej męki i wyrwać się z rąk dzikich oprawców, wskazywał kilka razy różne miejsca, w których mają być złożone pieniądze, gdy ich naturalnie tam nie znaleziono, męczono go dalej z jeszcze większą zawziętością.

W trakcie tego pastwienia się zbudziło się dziecko państwa Kwapisiewiczów, które matka poszła utulić, a poprawiając poduszkę spostrzegła pod nią zwitek banknotów, o których kradzież posądzali Szewczyka, a które, jak sobie taraz dokładnie przypomniała, w roztargnieniu umieściła w kołysce dziecka.

Zawstydzeni Kwapisiewicze zaprzestali dalszych tortur, starali się nawet przeprosić Szewczyka, ale on nie dał się przeprosić. Na drugi dzień wskutek straszliwego katowania w okropnych cierpieniach umarł.

Rzecz stała się głośną — zjechał sąd, a obdukcja lekarska wykazała, w jak nieludzki sposób pastwiono się nad niewinnym człowiekiem. Miał złamane dwa żebra i jedną rękę kłonicą — jedno płuco przebite widłami na wylot — ciało w sińcach, poodbijane od kości.

Rodzinę Kwapisiewiczów i pomocnika ich Borakowskiego uwięziono, niewinnej ofierze wyprawiono wspaniały pogrzeb kosztem miasteczka Zwolenia, na którym zebrały się tłumy. — Takie są skutki ciemnoty.

Kronika zagraniczna.

ROSJA.

Kopalnie złota. — Pewien kapitalista angielski kupił w okolicach Ekaterinosławia kopalnie złota, których wartość oceniana jest na 5 miljonów rubli. — Sprzedaż ta dowodzi, że rząd rosyjski jest w wielkich kłopotach finansowych.

Dn. 26 z. m. w Kazaniu eksplodowała w jednym z domów bomba dynamitowa. Parę osób zabitych.

Ciekawe sądownictwo. — W Petersburgu rozpoczął się proces przeciwko radzie delegacji robotniczej. Adwokat oznajmił sądowi, że posiada dosłowną kopję sprawozdania posłanego Stołypinowi przez byłego naczelnika policji, Łopuchina. Dokument ten dowodzi, że sama policja podburzała do podpalań i gwałtów. Naczelnik policji przy pomocy znanych prowodyrów czarnych secin — Dubrowina w Petersburgu, Gringmunta w Moskwie i szefa policji w Wilnie — rozpowszechniał odezwy wzywające do rzezi i gwałtów.—Sąd jednak tak przeraził się tego dokumentu, że zabronił adwokatowi odczytania go. — Oto jakie są sądy w Rosji. —

Nie od rzeczy będzie zaznaczyć, że takich właśnie sądów bronią panowie z narodowej demokracji i do takich sądów odwołują się o pomoc przeciwko własnym rodakom—rewolucjonistom. — Przykład: rzeź w Siedlcach, z której polscy panowie i księża chcieli uniewinniać rząd carski, a całą winę zwalić na rewolucjonistów.

Z Odessy wydalono dn. 29 z. m. i dni poprzednich około 800 osób, podejrzanych o zamiary rewolucyjne.

Dn. 29 z. m. w Petersburgu zebrało się na wiecu 4 tysiące studentów i powzięło przeciwrządowe postanowienia.

Ukaz. — Ogłoszono ukaz carski nadający tak zwanym „starowiercom“ [sekta kościoła prawosławnego] te same prawa, z jakich korzystają wyznawcy kościoła rządowego. —

Bojkot byłych posłów. Byłym posłom do Dumy: Obmińskiemu i ks. Urusowowi, byłemu pomocnikowi ministra spraw wewnętrznych, których za podpisanie odezwy wyborskiej postawiono w stan oskarżenia, odmówiono prawa brania udziału w zjeździe ziemstwa.

Finanse. Ogłoszenie tajnego raportu ministra skarbu o rozpaczliwym stanie finansów rosyjskich wywarło wielkie wrażenie w kołach politycznych, gdyż przekonano się, że nawet w najwyższych sferach urzędniczych rewolucjoniści posiadają zwolenników, którzy dostarczają im najtajniejszych papierów państwowych.

Donoszą z Petersburga, że dn. 3 z. m. pod silną strażą wojskową wysłano z kas państwowych większą ilość pieniędzy dla domu bankowego Mendelssohna w Berlinie celem zapłacenia kuponu od papierów państwowych rosyjskich.

Ogłoszenie tajnego memorjału ministra skarbu rosyjskiego o stanie finansów rosyjskich wywołało bardzo silne wrażenie we Francji. Znany socjalista Jaures pisze, że ogłoszenie owego memorjału jest jednym z najcięższych ciosów, jaki spotkał kredyt rosyjski za granicą. Pokazuje się, że biurokracja jest niezdolna do uratowania siebie samej i finansów rosyjskich i że tylko kontrola nad finansami może zapewnić Rosji lepszą przyszłość.

„Voss. Ztg.“ donosi z Petersburga, że znany profesor rosyjski Migulin ogłosił w dzienniku „Rjecz“, iż rosyjski minister skarbu naruszył ustawę o zabezpieczeniu banknotów papierowych przez zapas gotówki w złocie. Od 1 stycznia banknoty rosyjskie, będące w obiegu, nie mają dostatecznego pokrycia w złocie, tak, że obecnie jest o 378 miljonów rubli więcej, aniżeli wynosi zapas złota. Tak samo i zapasy złota, złożone u bankierów zagranicznych, nie są zupełnie pewne, gdyż służą innym celom, aniżeli nakazuje ustawa.

Ministerstwo kolejowe zrobiło nieprzyjemne odkrycie, a mianowicie przekonało się, że zarząd kolei syberyjskiej w czasie od 1 stycznia do 1 września r. b. wydał o 24 miljony rubli więcej, aniżeli przeznaczono na to w budżecie. Dyrektor kolei syberyjskiej został wezwany do Petersburga, aby się wytłumaczyć z tego odkrycia.

„Czarne sotnie.“ Pisarz francuski Ular, który bawił w Petersburgu, miał sposobność zebrać interesujące szczegóły o organizacji i działalności „czarnych secin“. Właściwym kierownikiem całej partji jest niejaki Peruszkiewicz, który gorączkową rozwija czynność. Partja liczy trzy miljony członków, którzy płacić muszą 50 kop. składki. Niedawno car dowiedział się od Stołypina że w ciągu dwu miesięcy „czarne seciny“ otrzymały od rządu 400.00 marek.

STRAJK... KSIĘŻY.

Rzecz stała się w Szwajcarji, w kantonie berneńskim. W gminie Roggwil został w r. 1900 proboszczem ks. F. po gorącej walce wyborczej między „ortodoksyjnymi“ a „wolnomyślnymi“ członkami parafji W ciągu sześciu lat mniejszość „wolnomyślna“ stawała się większością, potrosze dzięki proboszczowi, który nietaktownym postępowaniem zrażał do siebie wielu dawnych zwolenników. Wskutek zmiany konstelacji partyjnej ks. F. nie został wybrany na nowy okres. Wtedy 19 księży na osobnym zjeździe okręgowym w Langethal postanowiło bojkotować gminę tj. nie przyjmować urzędu proboszcza i wezwać wszystkich duchownych w kantonie do współudziału w akcji.

„Łamistrajk“ nie znalazł się żaden, a gmina pod wpływem prasy, która narobiła dużo wrzawy, zacięła się i od marca pozostawała bez duszpasterza. Dawny przyjął wybór na proboszcza w König, a nowego osierocona parafja mimo trzykrotnie ogłaszanego konkursu znaleźć nie mogła.

Z początku parafjanie, a szczególnie parafjanki, bardzo narzekali na ten brak księdza, powoli jednak przyzwyczaili się do tego stanu rzeczy — a przekonawszy się, że bez księdza żyje się lepiej i spokojniej niż z nim — nie chcą już teraz żadnego. Takie skutki miał strajk księży. — Trzeba przyznać, że dla ludności tej gminy bardzo pomyślny.

KOŚCIÓŁ I PAŃSTWO WE FRANCJI.

Walka Kościoła i Państwa we Francji straciła już swój ostry charakter; panuje obecnie coś w rodzaju zawieszenia broni pełnego oczekiwania. Pozycja rządu jest jednak z każdym dniem mocniejsza w tej sprawie, albowiem wszystkie kościelne usiłowania wywołania rewolucji spełzły na niczym. Duchowieństwo francuskie coraz jawniej wyraża swą niechęć do papieża, który swym nietaktem postawił je w bardzo trudnej pozycji: papież zabronił księżom godzenia się na prawo postanawiające rozdział Kościoła i Państwa, mając nadzieję, że masy ludowe ujmą się za księżmi i rzucą się do rewolucji. Rachuby te, jak już wiedzą nasi czytelnicy, sromotnie zawiodły, wobec tego księża znaleźli się między młotem i kowadłem—z jednej strony papież wyklinający ich, jeśli poddadzą się słusznym wymaganiom własnego, francuskiego rządu, a z drugiej strony rząd i parlament, który w ostatnich czasach wydał prawo, że każdy oporny ksiądz pozbawiony będzie obywatelstwa francuskiego.—O tworzeniu się kościołów niezależnych pisaliśmy już.—Naogół niższe duchowieństwo jest po stronie rządu i narodu francuskiego, a wyższe—biskupi—po stronie papieża.—Wielu księży pozrzucało sutanny i przestało być księżmi, znalazłszy sobie inne, uczciwsze, sposoby zarobkowania; inni tworzą kościoły niezależne, lub sekty protestanckie.—

obec tego zdaje się już dzisiaj rzeczą niewątpliwą, że koniec końców papież — pomimo swej „nieomylności“ — będzie musiał ustąpić, w przeciwnym bowiem razie straciłby i to, co mu prawa francuskie przyznają.— Korespondent jednego z wielkich dzienników francuskich dostąpił posłuchania u papieża i rozmawiał z nim w tej sprawie. Papież — jak zwykle księża — wszystko zwala na Chrystusa i na Opatrzność, mówiąc, że to nie on prowadzi walkę z rządem francuskim, jeno sam Pan Jezus. — Ciekawa rzecz, w jaki to sposób Pan Jezus przesyła codziennie papieżowi swoje polecenia? — A z Ewangelji trudno chyba wysnuć polecenie prowadzenia walki o wpływy polityczne; boć w całej tej walce o nic nie chodzi, jeno o prawa prowadzenia intryg politycznych: rząd francuski kościoła nie prześladuje, jeno zmusza księży do poddania się ogólnym, wszystkich obywateli obowiązującym, przepisom prawnym. —Wszak to wymaganie zupełnie słuszne. — Nie zapominajmy przytym, że to, co Francja przeprowadza dopiero teraz, dawno już jest prawem w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej i tutaj, w Brazylji.

KRONIKA.

SMUTNY WYPADEK zdarzył się na Rio Claro, o którym tak nam pisz p. Skawiński: „Kolonista, p. Galicki, wczesnym rankiem wyszedł z fuzją do boru, lecz niebawem powrócił do domu z głęboką raną w okolicy serca. Po kilku godzinach zmarł. Pozostała po nim żona i pięcioro drobnych dzieci. Wypadek ten głęboko poruszył wszystkich znajomych nieboszczyka, który cieszył się ogólnym szacunkiem. — Niech mu ziemia lekką będzie!“

P. ALEKSANDER PAWELSKI, ogólnie znany w Kurytybie młody człowiek, otrzymał tymi dniami nominację na urzędnika przy poczcie w Rio de Janeiro, dokąd też niezwłocznie wyjechał. — Życzymy p. Pawelskiemu najlepszego powodzenia na drodze urzędowej!

DZIENNIKI W RIO DE JANEIRO umieściły obszerne artykuły o zbrodniach, których dopuszczają się niemcy w Wielkopolsce, artykuły te są pełne gorących słów nagany dla rządu niemieckiego, który—pomimo całego swego barbarzyństwa — ciągle jeszcze chce uchodzić za najbardziej cywilizowany w Europie.

KS. SMOŁUCHA na św. Mateuszu znowu rozpoczął szereg wymyślań przeciwko naszemu pismu. Jak nam donoszą nasi przyjaciele, ksiądz ten wywołuje ogólne oburzenie swoich parafjan karczemnymi słowami, których stale używa w kościele, gdy napada na „Polaka w Br.“ i jego czytelników. Zaiste dziwić się trzeba niemądrej zaciętości tych wrogów „Polaka“ i narodowego postępu: dzieje się z nimi zupełnie to samo, co z niemcami w Wielkopolsce — oto im bardziej się srożą, im głupsze wyprawiają krzyki, tym większe podnosi się oburzenie — ale nie przeciwko „Polakowi“, któremu stale przybywa prenumeratorów, jeno przeciwko nim samym. — Ostatecznie — powiedzieć nawet można, że oni mimowoli więcej dobrego niż złego robią swymi napaściami na nasze pismo, bo to otwiera ludziom oczy: niejeden poznał się na nich taki, któryby ich niesłusznie szanował, gdyby nienawiść swoją do „Polaka“ w cichości uprawiali. — Należy tylko, aby ludzie światli, o dobro narodowe dbali, jakich na szczęście coraz więcej jest między nami, skwapliwie korzystali z każdego takiego księżego wściekłego ataku i z ich słów, z ich wymysłów broń przeciwko nim samym kuli, odkrywając rodakom oczy i śmiało pokazując im całą przewrotność księży i całą szkodliwość ich dla naszej sprawy narodowej. — — Byłoby bardzo dobrze, gdyby tacy ludzie świadomi rzeczy łączyli się w towarzystwa, zawiązane i istniejące specjalnie w celu zwalczenia księży i ich wpływu; takie towarzystwa jawnie antyklerykalne istnieją wszędzie między oświeconymi ludźmi i wszędzie sprawie postępu i rozwoju narodowego ogromne oddają usługi, będąc prawdziwym biczem na księży.

P. FRANCISZEK MARSZAŁEK z Tomaskoeljo prosi nas o sprostowanie wiadomości podanej w Nr. 43 „Gazety Polskiej“, jakoby przy okradzeniu kościoła Matki Boskiej Bolesnej w Tomaskoeljo w kościele były jakiekolwiek przedmioty naruszone lub w nieporządku pozbawione: przeciwnie — było tak jak to napisaliśmy w „Polaku“, t. j. w kościele nic nie było naruszone, jeno pieniądze zginęły bez śladu. P. Marszałek z ramienia władzy prowadzi energiczne śledztwo w tej sprawie.

NA SZPITAL: — Od p. F. Marszałka otrzymaliśmy uzbierane przez niego 22$000 na szpital w Kurytybie. Jak również 143 bilety tramwajowe.

Z KOL. ŻARAGUA pod Żuenwilem donosi nam p. Marczyński, że wcale dobrze się tam nie dzieje. Kolonja ta posiada 15 rodzin polskich, do których dopiero teraz dotarło pismo polskie. — Rodacy nasi pracują tam przy budującej się linji kolejowej, zarobki jednak są bardzo liche, ponieważ robotników wyzyskują w sposób bezwstydny. — Okolice tamtejsze nawiedziła wielka powódź, która — prócz strat materjalnych — spowodowała śmierć 8 ludzi. — W krótkim przeciągu czasu szarańcza aż 5 razy nawiedziła tamtą kolonję; a potym przyszła długotrwała i wszystko niszcząca susza. Koloniści już obawiali się, że wszystko na polach przepadnie, aż dopiero w ubiegłym tygodniu przyszedł deszcz, który dodał życia już prawie umierającym roślinom. — W każdym jednak razie pozycja jest nader przykra i trudna.

II KÓŁKO RORNICZE. — Uroczyste otwarcie drugiego w Paranie sklepu i szkoły kółka rolniczego na kolonji Pelazynie (Pilarsinho) pod Kurytybą odbędzie się dn. 18 b. m. — Budynek, którego plan podaliśmy w Nr. 36 naszego pisma, jest już ukończony. — Kierownikiem sklepu i nauczycielem zostaje p. Marjan Sapalski. — Na uroczystość otwarcia Zarząd kółka zaprasza jaknajliczniejszych gości z Kurytyby i okolicznych kolonji. — Nie wątpimy, że Sz. Rodacy, licznie pospieszą na otwarcie Kółka, jako instytucji niezmiernie pożytecznej i niewątpliwie świetną przyszłość mającej przed sobą.

STRASZNY WYPADEK. — Dn. 25 z. m. o godz. 1 po poł. w Pirasykabie we młynie zdarzył się okropny wypadek. — Pracujący tam chłopiec czternastoletni nieostrożnie zbliżył się do walców młyńskich, które chwyciły go za ubranie; — zanim można było pomyśleć o udzieleniu mu jakiejś pomocy — nieszczęsny chłopiec został wciągnięty między walce i literalnie zmiażdżony: z maszyny wyjęto jakąś bezkształtną masę, w której tylko z trudnością można było rozpoznać ludzką istotę.

T-WO SZKOŁY LUDOWEJ W BRAZYLJI.

Lista składek Nr. 19

Zbierający — dr. Bruno Stysiński w S. Sebastião do Cahy.

Bruno Stysiński	10$000
Antoni Kobuszewski	5$000
Edward Kumiński	5$000
L. Daniel	10$000
Razem	30$000

Suma powyższa zostata doręczona skarbnikowi T-wa na posiedzeniu Zarządu dn. 4 b.m. Zarząd T-wa postanowił złożyć podziękowanie dr. B. Stysińskiemu za tak łaskawe i skuteczne zajęcie się zbieraniem składek na rzecz T-wa.

OSTATNIE WIADOMOŚCI.

POLSKA.

Opór dzieci polskich przeciwko niemieckiej nauce religji w Wielkopolsce i Prusach trwa dalej i coraz szersze obejmuje okręgi.

ROSJA.

Członkowie rady robotniczej — pomimo energicznej obrony—zostali skazani na 12 lat ciężkich robót i dożywotni pobyt na Syberji.

Car wydał ukaz naznaczający wybory do Dumy na dzień 23 grudnia w całym państwie (Telegram ten potrzebuje potwierdzenia).

DO BIEGUNA.

Donoszą z Niu Jorku, że północnoamerykańska wyprawa do bieguna Północnego oddalona jest już tylko o 3 stopnie geograficzne, to znaczy o 60 mil, od bieguna. — Dotychczas cała wyprawa idzie bardzo pomyślnie. (Wiadomości te są zapewne otrzymane przy pomocy telegrafu bez drutu.)

WYBUCH WEZUWJUSZA.

Wulkan włoski, Wezuwjusz, znowu zaczął bardzo silnie wybuchać, wyrzucając wielkie ilości lawy, kamieni i popiołu.

WIELKI STRAJK.

W Londynie zastrajkowało 12 tysięcy robotników. Tak samo strajkują robotnicy wielkich fabryk stalowych w Klajd [Clyde]. — Cały ruch przemysłowy wstrzymany.

POTRZEBNY NAUCZYCIEL
na kolonję
pensja stała i pewna
Wiadomość w Redakcji.

Od administracji.

PRENUMERATĘ ZA I PÓŁROCZE 1906 r. nadesłał p. Pawłowski.

PRENUMERATĘ ZA III KWARTAŁ 1906 r. nadesłał p. Pawłowski.

PRENUMERATĘ ZA II KWARTAŁ 1906 r. nadesłał p. Jan Nalewajko.

PRENUMERATĘ ZA I KWARTAŁ 1907 r. nadesłali p. p. Wojciech Kulka, Wincenty Klossowski, Roman Marczyński.

PRENUMERATĘ ZA II PÓŁROCZE 1905 r. nadesłał p. Maciej Wolski.

PRENUMERATĘ ZA II PÓŁROCZE 1906 r. nadesłali p. p. Józef Cymbalista, Michał Jencz, Jan Zarówny, Józef Dynarowski, Franciszek Defert, Mikołaj Troncewicz.

PRENUMERATĘ ZA CAŁY ROK 1906, nadesłali p. p. Dr. Jan Schaumann, Franciszek Błaszczak.

PRENUMERATĘ ZA IV KWARTAŁ 1906 r. nadesłali p. p. Roman Marczyński, Wincenty Kłosowski, Wojciech Kulka, Bronisław Stachelski, Franciszek Szybesta.

Odpowiedzi od Redakcji.

Obywatelom z Boavisty. — Za nadesłanie nam Waszego obywatelskiego zdania w kwestji tak ważnej jak nasz stosunek do zaborczych rządów, serdecznie dziękujemy; dziękujemy również za słowa uznania dla skromnych wysiłków naszych. — Na jedno tylko zgodzić się z Wami nie możemy, oto powiadacie: „Nie mieszamy się w żadne sprawy ani polityczne, ani nas nie tyczące“. Gdyby tak było naprawdę, t. j. gdybyście naprawdę nie zajmowali zię polityką, byłoby to bardzo źle. Bo i cóż to jest polityka? — Polityka to sprawy nie prywatne, lecz publiczne, ogół cały obchodzące. Któż więc ma nimi zajmować się, jeśli nie obywatele? Politykę w kraju wolnym robią nie jacyś tam urzędnicy, lecz robią ją wszyscy obywatele, a urzędnicy są tylko wykonawcami woli obywateli, przez nich opłacanymi. Zajmowanie się polityką, sprawami ogólnymi, jest nietylko największym przywilejem wolnego obywatela, lecz nawet jego obowiązkiem; tylko tam się dobrze dzieje, gdzie wszyscy obywatele, od najbiedniejszych do najbogatszych, na równi zajmują się polityką, sprawami ogólnymi. Kto nie zajmuje się polityką, ten nie godzien jest nazywać się obywatelem, bo on nie czuje się równym z politykami, bo nie chce zabierać głosu w sprawach ogół cały obchodzących. — Mówiąc o sobie, że nie zajmujecie się polityką, sami siebie niesłusznie obrażacie, gdyż to nadesłane przez Was pisanie jest właśnie zaprzeczeczeniem tego niesłusznego zarzutu. Toż to właśnie, takie pisanie, jakie nam do druku przysłaliście, jest robieniem polityki; bo zajmowanie się polityką, to właśnie wypowiadanie swego wolnego zdania w sprawach publicznych. Przysyłając nam wasze obywatelskie zdanie do opublikowania go, uczyniliście krok polityczny — tak, a nie inaczej robi się polityka. — Nie obrażajcie więc samych siebie i nie mówcie, że polityka was nie interesuje, skoro z każdego zdania pisania Waszego widać, że gorąco się nią zajmujecie — jak właśnie na wolnych i wartość swoją znających obywateli przystało.

Panu Nauczycielowi. — Powiadacie, Sz. Panie, że uważnie czytujecie „Polaka“, a gdzież to znaleźliście w naszym piśmie słowa uznania dla Rosji? Rosja jest naszym strasznym wrogiem, i nietylko rząd rosyjski, ale i dusza narodu rosyjskiego, która jest więcej azjatycka niż europejska. Pomiędzy nami i niemcami jest olbrzymia przepaść, ale bodaj czy nie większa — pomiędzy nami i rosjanami. Polska—to Europa, Rosja—to Azja, z całą jej dzikością i barbarzyństwem. Powtarzam: wrogi nam jest nietylko rząd rosyjski, ale i idea Rosji. — O tym można by bibljoteki zapisywać. — O pogłoskach, jakoby p. K. Warchałowski miał być konsulem rosyjskim, my, w redakcji „Polaka w Brazylji“, nic nie wiemy; dlatego nie możemy Wam, obiecywać protekcji na żadne posady od rządu carskiego. Sam fakt, że udaliście się do nas z prośbą o protekcję na posadę rządową rosyjską dowodzi nam, że nie czy tujecie „Polaka“, w którego No. 40, w kronice, grubym drukiem wydrukowane były słowa następujące: „**uczciwy polak nie może być urzędnikiem rosyjskim, pruskim, ani austrjackim**“. — Dlatego te całe litanje przesadzonych pochwał, którymi — jak zwiędłym kwieciem — obsypujecie redaktora „Polaka“, uważamy tylko za nędzne i płaskie pochlebstwo. — Słowa szczerego uznania od obywateli, dla których pracujemy, są nam zawsze bardzo, bardzo drogie i nieraz już o tym pisaliśmy w „Polaku“, pochlebcami jednak pogardzamy, choćby oni skądniką najbardziej byli godni litości.

Panu J. Karmanowi. — Za rękopis uprzejmie dziękujemy.

Panu Romanowi Marczyńskiemu, — Za Słowa uznania uprzejmie dziękujemy. 5$000 otrzymaliśmy i pismo nasze poczynamy wysyłać Wam, Sz. Panie, od początku kwartału IV. 1$000 zapisaliśmy za pięć numerów poprzednio Wam wysłanych, 2$000 za IV kw. r. 6 i 2$000 za I kw. r. 7. — Książek, ani kalendarzy nie mamy jeszcze, ale spodziewamy się ich wkrótce; gdy tylko nadejdą — ogłosimy. — Za nadesłanie wiadomości uprzejmie dziękujemy.

Za redaktora **JAN HEMPEL**.

Ogłoszenia

Za dział ten Redakcja nie odpowiada.

Boawista.

dn. 29- X—1906.

Szanowna Redakcjo „Polaka w Brazylji“!

My, polacy, osiedleni stale tu w cichym zakątku; każdy z nas pilnuje swej pracy w gospodarstwie. Nie mieszamy się w żadne sprawy ani polityczne, ani nas nie tyczące, lecz tylko w wolnych chwilach, a przeważnie w dni świąteczne, schodzimy się do naszej szkoły na wspólne przeczytanie gazet, aby zasięgnąć wiadomości z kraju i dalszych okolic świata. Otóż i w tę niedzielę t. j. dn 9—IX—1906 zebraliśmy się i rozpoczęlismy nasze posiedzenie od przeczytania gazet. I z wielkim zdziwieniem, a nawet wstydem —bóć to pismo polskie—przeczytaliśmy w No. 36 „Gazety Polskiej“ jakieś niemądre protesty, w których rodacy korzą się przed jakimś tam majestatem, który dla nas polaków jest zaborcą i ciemięzcą. Prawdopodobnie zrobili to bracia nasi pozostający jeszcze w ciemnocie i nie umiejący czytać, lub też jaki krzyżak, wróg nasz, popchnął łatwowiernych braci naszych do takiego czynu, niegodnego wolnego obywatela, a tymbardziej polaka. Pozostając tu w Brazylji, w wolnym kraju, i będąc wolnymi obywatelami, wydobywszy się z pod jarzma naszych ciemięzców, teraz znowu chcą dać karki swoje pod jarzma. Nas, polaków są tu w Brazylji dziesiątki tysięcy, co radzi są, że oddychają wolnością; a jeżeli jakimś jednostkom jest miłe jarzmo, to niech sobie wracają całować ślady jakiegoś tam majestatu. Ale nas, ogółu polaków, niech nie hańbią przed całym światem, że my nie pojmujemy ceny wolności. — Ciemnocie mogłoby się przebaczyć, lecz dziwi nas bardzo że „Gazeta Polska“ pomieściła w swych szpaltach taką niecną pisaninę, nam wszystkim polakom, ubliżającą. — Otóż my, tu zebrani i podpisani, protestujemy przeciwko tym paszkwilom i prosimy „Gazetę Polską“ o odwołanie takowych; w przeciwnym razie postaramy się więcej „Gazety“ nie prenumerować. A ci bracia nasi, ciemnota, mają powrócić sławę panu redaktorowi „Polaka w Brazylji“, któremu najniesłuszniej ją odjęli. A jeżeli nie odwołacie tych swoich niecnych protestów i nie przeprosicie tego, któremuście odjęli sławę, w takim razie my wszyscy, polacy, będziemy mieli was, bracia, w pogardzie i żaden z nas nie poda Wam ręki, jako zdrajcom wolności.

Jan Owczarzak, Wawrzyniec Zieliński, Kaźmierz Figiel, Wincenty Karpiński, Paweł Brzozowski, Aleksander Celiński, Jan Celiński, Michał Kurzętkowski, Jakób Ziółkowski, Jan Olejnik, Bernard Jaworski, Franciszek Jaworski, A. Krakowski.

P. s. Pisanie to nasze tak późno podajemy, gdyż zwłoka nastąpiła z powodu następnego zebrania się wszystkich nas, cośmy się podpisali.

Kalendarze
na rok Pański 1907

już nadeszły i są do nabycia w drukarni i księgarni polskiej **Cezara Szulca**, przy ul. Barão do Serro Azul N. 6
Curityba—Paraná.

Kalendarze „**Katolik**“, „**Maryańskie**“ z Mikołajewa, „Maryańskie“ z Krakowa i „**Wszechświatowe**“.

Tamże są zawsze na składzie książki do nabożeństwa, obrazy, krzyże i wszelkie inne towary dewocyjne.

Przybory szkolne wszelkiego rodzaju.

Wykonywują się wszelkie roboty w zakres introligatorski i drukarski wchodzące.

Sprzedaż detaliczna.

ZAKŁAD FRYZJERSKO FELCZERSKI

lon golenia, strzyżenia fryzowania i t. p. Dzięki mej długoletniej europejskiej praktyce spodziewam się, że zdołam zadowolnić najszukańsze wymagania.

Z szacunkiem
STANISŁAW ULICKI
AVENIDA LUIZ XAVIER No. 81.
w Kurytybie.

Z SĄDU.

Sędzia: — Ile pan liczy lat?
Oskarżony: — Kto, ja?
Sędzia: — A któż, pewnie, że pan!
Oskarżony: — Pięćdziesiąt ośm.
Sędzia: — Gdzie pan urodzony?
— Kto, ja?
— Pewnie, pan!
Oskarżony: — W Kociej Górce.
Sędzia: — Gdzie pan skradł te buty?
Oskarżony: — Kto, ja?
Sędzia (zły): — A któż? Może ja?
Oskarżony: — Albo ja wiem?

LOTY

dobrej ziemi do sprzedania z lasem lub bez, z domami lub bez; wszelkiej wielkości po cenie umiarkowanej. Połowa należności może zostać na rozpłaty.

Wiadomość u p. Franciszka Marszałka.
Thomas Coelho

W jaki sposób

CHŁOPI SYCYLIJSCY WALCZYLI O SWE PRAWA I DOBROBYT.

bardzo ciekawa i pouczająca książka kosztuje TYLKO 100 RS. w naszej Redakcji.

Mam zszczyt zawiadomić Sz. Publiczność polską w Ponta Grossa, na kolonjach i odległych miejscowościach, że założyłem na własną rękę

FABRYKĘ KAWY MIELONEJ

zastosowaną do wszelkich przepisów hygieny, bo kupując hurtownie tylko najlepszą kawę, jestem w stanie odpowiedzieć wszystkim wymaganiom, tak odnośnie dobroci, jak czysości i niskiej ceny.

Zamówienia z prowincji natychmiastowo i jaknajdokładniej za umiarkowaną cenę uskuteczniam

JÓZEF CHOLEWICZ

Ponta Grossa
Paraná.

NIEZBĘDNIE POTRZEBNY
KAŻDEMU POLAKOWI W BRAZYLJI

SŁOWNIK

PORTUGALSKO-POLSKI

Broszurowny w 2 zeszytach . . . . 4$000
przesyłką pocztową . . . . . . 5$000

FABRYKA
CZEKOLADY I KAWY „GLORIA“

własności GLORIA PAIWA dawniejszy sklep FRANCISZKA PAIWA
PLAC TIRADENTES NR. 19 — KURYTYBA.

Posiada zawsze we składzie fajerwerki i ognie stuczne z fabryki Annibal Paiwa & Cia. z Paranagua.
Cukier, mąka pszenna, faryna mandjakowa i miljowa, sol, nafta, ryż i t. p. towary są zawsze w dużej ilości i sprzedają się po cenach bardzo nizkich.
Kupuję i sprzedaję towary krajowe.

Baczność!

Ukazały się w handlu

„PAPIEROSY SULTAN“

z mundstukami w tutkach nieklejonych

20 sztuk — 200 rs.

Na żądanie robi się papierosy z każdego tytoniu, obliczając tylko koszt roboty t. j.
PO 4$000 ZA 1000 SZTUK.
Obstalunki przyjmuje się w Kurytybie przy ul. José Bonifacio (Fechada) 11.

Sprzedającym znaczny rabat.

Słuchacz Uniwersytetu wiedeńskiego i kierownik kliniki w szpitalu miejskim w Wiedniu

DR. JÓZEF FERENCZ

złożył egzamina wymagane przez prawa Brazylji i przyjmuje pacjentów
przy *ul. Saldanha Marinho N. 3* *Curityba.*

LOTY

dobrej ziemi

z lasem lub bez
DO SPRZEDANIA
Wiadomość w Redakcji.

Dziennik Poznański,

najpoważniejsze pismo polskie zaboru pruskiego, wychodzi co dziennie W POZNANIU i daje obraz życia politycznego całej Polski, a mianowicie też zajmuje się szczegółowo reformą w Rosji. Z Warszawy i Petersburga ma oryginalne korespondencje, niemniej z Krakowa i Lwowa itd. Liczne feletony i powieści urozmaicają pismo. Specjalny korespondent ze Stanów Zjednoczonych zajmuje się sprawą polskich biskupstw w Północnej Ameryce. Kronika miejscowa podaje wiadomości o wszystkich wydarzeniach w W. Księstwie Poznańskiem, w prusach Zachodnich i na Śląsku

Abonament wynosi całorocznie 24$000, kwartalnie 6$000. Za nadesłaniem tej kwoty abonent otrzymywać będą „Dziennik" codziennie pod opaską.

BACZNOŚĆ

ELEMETARZE POLSKIE, OSSOLIŃSKICH — I II i III KLASY. ELEMENTARZE POLSKO PORTUGALSKIE, nowe i ulepszone wydanie na wzór Lwowskich — ELEMENTARZE I KSIĄŻKI DO NABOŻEŃSTWA ORAZ KALENDARZE NA ROK 1905 W RUSIŃSKIM JĘZYKU

Na składzie są zawsze w najlepszym i największym wyborze:

Ksiażki do nabożeństwa i historyczne, obrazy krzyże, medaliki kropielnice i wszelkie inne towary dewocyjne.

Wykonywa się wszelkie roboty w zakres drukarski wchodzące, pieczątki gumowe jakoteżoprawę książek i t. p. Wszelkie zamówienia i przesyłki pieniężne, adresować należy:

CEZAR SCHULZ, RUA BARÃO DO SERRO AZUL n. 6.

CURITYBA—PARANÁ—BRAZIL.



Kawa Moka

przy ul. 15 deNovembro n. 44

——o——

KAWA NAJLEPSZEGO GATUNKU, nie zawiera żadnej mieszaniny, jest PALONA I MIELONA z najprzedniejszego ziarna kawowego oczem każdy życzący może osobiście się wa naszym zakładzie przekonać.

Sprzedajemy po cenach jak najtańszych aby dużo sprzedać a odbiorcom dla powtórnej sprzedaży udzielamy znaczny rabat.



F. Pamm,

KRAKÓW, UL. ZIELONA 3,
EUROPA, AUSTRJA, GALICJA,

Wysyła sławne w całym świecie znane zegarki „ROSKOPF" kieszonkowe dokładnie na minutę uregulowane 6$., te sama prawdziwe patentowe 12$., te same z trze ma srebrnemi kopertami urzędownie stemplow... same prawdziwe patentowe 21$., Łańcuszki srebrn... downie stemplowane 3$., mocniejsze 4$500, bardzo mocne ... Przy obstalunku należy kwotę przysłać. Opłata od paczki do Ameryki wynosi 1$.

Na żądanie posyłam wielki cennik ilustrowany darmo i opłatnie

Seccos e Molhados

Bernardo Lewgoy & Irmão

Curityba

Praça Tiradentes No. 16

[obok niemieckiej apteki] ma zawsze na składzie:

świeże Masło,
świeże Jaja,
Fiżon,
Groch,
Żyto i
Mąka żytnia,
Cebula,
Kartofle,
Owies,
Sieczka,
Milja,
Otręby,
i t. d. i t. d.

Wszystko może być bezplatnie dostarczone do domu.

Dzięki temu, że posiadamy filję w Tomas Coelho, możemy wszystko sprzedawać **po cenach niebywale niskich.**

DZIAŁ POWIEŚCIOWY.

23.

DUCH PUSZCZY.

OPOWIADANIE Z AMERYKAŃSKICH BORÓW.

OPRACOWAŁ

WŁ. L. ANCZYC.

C. d.

— Jesteś waleczny! — zawołał Natan z ogniem — pomagasz drugim, Bóg tobie dopomoże. Za mną!

I nie mówiąc ani słowa więcej, Natan popełznął zagłębieniem ku dołowi; Roland go naśladował. Doczołgawszy się do dużego krzaku jałowca wirgińskiego, zatrzymali się za nim dla naradzenia się, jak zaatakować dzikich. Kapitan mniemał, iż najepiej byłoby dać do nich ognia z dwóch stron przeciwnych, a powaliwszy dwóch, rzucić się na pozostałych i dokonać ich porażki nożem, siekierą i kolbą.

— Najskuteczniej byłoby — odpowiedział Natan — zająć takie stanowisko, ażeby można po dwóch na jeden strzał powalić trupem, lub co lepsza, zabrać im strzelby, leżące pod drzewem, korzystając z ich zajęcia się pojmanym. W takim razie moglibyśmy dać do nich ognia z ich własnej broni; gdy, jednak niepodobna było wykonać obu tych pomysłów, w takim razie znam jeszcze jeden podstęp, który ich w nasze ręce wyda. Pójdź za mną! a ty — dodał, zwracając się do pieska — waruj tu w krzaku i nie ruszaj się z miejsca.

Pełznąc, skradając się i biegnąc naprzemian, stosownie do potrzeby i położenia gruntu, dostali się do dna doliny; tu z największą radością napotkał Natan wyrwę głęboką, wyoraną ulewami. Po obu jej brzegach rosły gęste krzaki, tworząc nad nią nieprzejrzyste sklepienie. Środkiem niej płynął potoczek, tak głośno szumiący w kamiennym łożysku, że nie zachodziła najmniejsza obawa, ażeby dzicy mogli dosłyszeć stąpania swych nieprzyjaciół.

— Mamy ich! — szepnął Natan z zajadłym uśmiechem — dalej!

Szybko i cicho pędził naprzód kwakier, Roland go naśladował. Wkrótce dosięgli miejsca, z którego mogli na blizki odstęp dać ognia do dzikich, znajdujących się najwięcej o czterdzieści kroków i nie przeczuwających grożącego niebezpieczeństwa. Teraz dwaj biali mogli doskonale widzieć jeńca. Indjanie na chwilę przestali go męczyć, leżał na ziemi, oddychając ciężko, wyczerpany oporem. Obok niego siedziało dwóch dzikich na straży, z siekierami w ręku. Strzelby ich oparte były o blizki pień spróchniałego drzewa, z którego trzeci odciosywał grube trzaski na stos dla jeńca. Pozostali dwaj siedzieli ze strzelbami przy ogniu i raz zatapiali wzrok łakomy w dopiekający się kawał zwierzyny, to znów rzucali spojrzenia na pojmanego, tchnące dzikim okrucieństwem, wyrażające radość, że wkrótce i jego tak samo piec będą.

Plan Natana, ażeby po dwóch na jeden raz położyć trupem, uniemożniało rozłożenie się Osagów, lecz to nie zakłopotało go bynajmniej. Roland, stosownie do cicho poszepniętej mu przez Natana wskazówki, zawiesił swą czapkę na krzaku, o parę kroków odległym, potym położył swą siekierę na brzegu wyrwy i wsparł na niej strzelbę, biorąc na cel jednego z dzikich, siedzącego przy ogniu. Kwakier uczynił toż samo ze swoją czapką, wymierzył do drugiego Indjana. Nie przeczuwali oni, co ich czeka, lecz kapitan potrącił przez nieuwagę bryłkę ziemi, która z szelestem chlupnęła w wodę. Natychmiast dwaj dzicy porwali się na nogi, śledząc bacznie okiem przyczynę szelestu.

— Teraz, bracie — szepnął Natan — baczność! jeżeli chybisz, zginiemy obadwaj. Czyś gotów?

— Gotów — odszepnął Roland.

— Ognia!

Strzały huknęły, a dwaj dzicy runęli na ziemi. Pozostali porwali się szybko na nogi, pochwycili broń, upatrując niewidzialnego nieprzyjaciela. Jeniec szybko zwrócił głowę, nadzieja ożywiła twarz jego.

Niebieskawy, leciuchny obłoczek dymu, unosił się ponad zaroślami, z których wypadły strzały. Dzicy dostrzegli go, a zarazem ujrzeli czapki, czerniące się śród gałęzi krzewu. Był to podstęp, przez Natana obmyślany. Osagowie mniemając, że czapki spoczywają na głowach ich wrogów, wymierzyli do nich i z okrzykiem wypalili ze strzelb do mniemanego nieprzyjaciela. Czapki spadły, a równocześnie zagrzmiał Natan piorunującym głosem:

— Naprzód z siekierą!

Obydwaj strzelcy wypadli z krzaków z okrzykiem i poskoczyli wprost ku ogniowi, gdzie leżały nabite strzelby poległych, ale i dzicy rzucili się w tę stronę, chcąc niedopuścić tam swych nieprzajaciół. Jeden z nich pozostał w tyle, a krzyk tryumfu zabrzmiał z ust jego, on bowiem sam tylko nie dał się uwieść podstępowi Natana. Broń jego była jeszcze nabita i z dziką radością wymierzył ją prosto w pierś kwakra.

Lecz tryumf jego nie trwał długo, a kula, zagrażająca życiu Natana, w bok poszła. Jeniec, dotąd leżący na ziemi, na widok powalonych dwóch wrogów, nadludzkim wysileniem stargawszy więzy, rzucił się z grzmiącym okrzykiem na dzikiego, celującego do kwakra, i uderzył go w ramię w chwili, gdy pociągał za kurek, poczym silnym uderzeniem pięści zwaliwszy go na ziemię, zaczął się z nim pasować. Obadwaj nie mieli broni, bo Osagowi, upadającemu na ziemię, nóż z za pasa wyleciał. Rozpoczęła się straszliwa walka pomiędzy nimi; jeden drugiego usiłował zdusić, ale siły obydwóch i zręczność były prawie równe. Zgrzytając zębami i miotając na siebie przekleństwa, toczyli się po ziemi, aż na brzeg huczącego potoku i we wzajemnym objęciu zniknęli w jego nurtach.

Podczas tej walki zawziętej, bój toczył się pomiędzy czterema przeciwnikami, ani Indjanie, ani biali, nie mieli czasu użyć broni ognistej; rzucili się na siebie z siekierami, postanowiwszy zwyciężyć, lub umrzeć. Natan wprawną ręką rzucił siekierą, wymierzoną w głowę dzikiego, lecz Osag równocześnie wypuścił swoją, obie bronie spotkały się w pół drogi, zadźwięczały i upadły na ziemię. Indjanin z szybkością błyskawicy schylił się po swoją, lecz kwakier

uchwycił go za kark i rzucił o ziemię, a porwawszy siekierę i pochyliwszy się nad leżącym, uderzył go z szybkością błyskawicy trzykrotnie w głowę.

Natan podniósł się, zakręcił skrwawioną siekierą młyńca i obejrzał się na Rolanda. Ten za przykładem Natana rzucił siekierą na Indjanina, ale niewprawny w tego rodzaju robienia bronią, chybił przeciwnika. Ten nie cisnął swej na Rolanda, lecz, chcąc mu własną ręką czaszką roztrzaskać, poskoczył ku niemu. Na nieszczęście swoje, dziki potknął się na trupie jednego ze swych towarzyszów i upadł. Roland rzucił się na niego i pochwycił za oba ramiona, lecz siły nie odpowiedziały jego męstwu. Osłabiony wycierpianymi trudami, nie mógł utrzymać miotającego się pod nim dzikiego. Indjanin wkrótce wydobył się na wierzch i niezawodnie walka zakończyłaby się śmiercią Rolanda, gdyby szybko nie nadbiegł Natan i nie roztrzaskał głowy dzikiemu.

Zwycięzcy poskoczyli ku strumieniowi, ażeby dowiedzieć się, co się stało z piątym Indjaninem i jeńcem. Straszny łoskot z łożyska potoku, połączony z przekleństwami, krzykiem i jękami, wskazał im miejsce pobytu obydwóch. Okropny widok przedstawił się ich oczom: Indjanin leżał na wznak, pogrążony w połowie w wodzie i mule. Jeniec siedział na nim, a nie mając broni, pięścią zadawał mu ciężkie ciosy raz po razie w głowę; uderzenia te były tak gwałtowne, że twarz dzikiego, skrwawiona i zsiniała, wykrzywiła się męką konania, a oczy wystąpiły ze swej osady. Wkrótce skonał, ale zajadły przeciwnik zdawał się tego nie widzieć, sypał bowiem wciąż gradem uderzeń i wołał z całego gardła:

— Giń, czerwona skóro, obrzydliwy rożnie djabelski! nikczemny morderco! małpo, udająca człowieka! Giń, tygrysie, żbiku leśny, ekstrakcie wszystkich zbrodni! Masz masz! za wszystkie uderzenia, których mi nie szczędziłeś, płacę ci z nasypką.

W tej chwili Natan wydarł z rąk zaciętego jeńca zwłoki Indjanina. Zwycięzca podskoczył i, uderzywszy się po bokach rękami, krzyknął:

—A tom mu dojechał! Wiwat aligator z nad Słonej rzeki, kukuryku!

Roland spojrzał na Natana z nadzwyczajnym zdumieniem, Natan osłupiał; obadwaj bowiem poznali w jeńcu, którego twarzy, pokrytej skorupą krwi i mułu, nie mogli dotąd dojrzeć, szlachetnego Ralfa Stackpole, amatora cudzych koni.

ROZDZIAŁ XVI.

PRZYGODY RALFA.

Nie mniejszym było zdziwienie Ralfa, gdy poznał, komu zawdzięczał życie. Wkrótce atoli zdumienie jego zamieniło się w wybuch szalonej radości. Uściskał obydwóch serdecznie, a chociaż Roland wyrywał się z jego objęć, nic nie pomogło, Ralf przyciskał go do swego serca z niewypowiedzianym zapałem.

— Cudzoziemcze! — krzyczał, wieszając się na szyi Rolanda — uratowałeś mię od stryczka, jakkolwiek nie z własnej woli, ale za wstawieniem się anielskiej damy, teraz zaś powtórnie ocalasz mi życie z własnego popędu. Ja, Ralf Stackpole, przysięgam ci od dnia dzisiejszego wierność i przywiązanie aż do grobowej deski. Ile razy będziesz potrzebował człowieka, walecznego, jak lucyper, przebiegłego, jak lis, zgrabnego, jak małpa, a wiernego, jak pies, gwizdnij tylko, a będę na twe usługi w dzień i w nocy, w zimie i w lecie, w pogodę i burzę!

— Ależ na miłość Boską! — zawołał Roland, wydobywszy się nakoniec z objęć Ralfa — skąd się tu wziąłeś? wszak widziałem, jak umknąłeś dzikim, sądziłem, że jesteś na drugim końcu Kentuky!

— Cudzoziemcze! — krzyknął Ralf — gdybym był samolubem takim, jak te szczury czerwone, byłbym sobie teraz spokojnie odpoczywał w pierwszej lepszej osadzie. Zamiarem jednak moim było wyswobodzić anielską damę z rąk nikczemnych Osagów i nastawałem im już prawie na pięty, kiedy te psy pomordowane schwytały mię.

— Czy być może? — rzekł Roland z oznaką budzącej się w sercu przychylności dla Ralfa — więc popadłeś w niebezpieczeństwo jedynie dlatego, że chciałeś wyswobodzić moją biedną siostrę?

— Byłżebym godny połykać powietrze, gdybym o niej zapomniał?! Na godzinę przed waszym przybyciem postrzeliłem jelenia, i z tej to właśnie przyczyny dostałem się w łapy tych ludożerców. Trzeba wam bowiem wiedzieć, że gdy Tom Bruce odzyskał zmysły...

— Jakto? Tom Bruce żyje? — zapytał Roland zdumiony.

— Czekajże, zacny wodzu karawany. Niechaj ci wszystko po porządku opowiem. Rana jego nie była ciężką, bo kula ześlizgnęła się po żebrach. Znalazłem go omdlałego na polu bitwy, a ten prześliczny koń kapitana Rolanda, za pożyczenie którego ten sam Tom Bruce chciał mnie powiesić, złapany przezemnie, posłużył do ratunku Toma. Przyrzekł mi on, że jak tylko dostanie się do Claytonhouse, natychmiast skłoni ojca, ażeby z dostateczną siłą wyruszył w te strony dla ocalenia anielskiej damy. Sam zaś szedłem wciąż za gromadą tych królobójców, ażeby dotrzeć aż do ich legowiska, ktore znam dobrze, bom już kilkakrotnie je nawiedzał w interesie mojego powołania.

Trzeba jednak wiedzieć, że byłem piekielnie głodny i nogi moje, wycieńczone osłabieniem, zaczęły mi wymawiać posłuszeństwo. Trzy dni prawie nic nie jeść, to także coś znaczy. Otóż wygłodniałemu nawinął się jeleń i, niepomny zupełnie, że, oprócz mnie, może ktoś być w lesie, palnąłem do tej biegającej pieczeni, a byłem takim bydlęciem, że zapomniałem zupełnie nabić strzelby. Wtym pięciu rozbójników, wlokących się za główną bandą, a przywabionych moim strzałem, napadło mnie i złapało jak mysz w pułapkę.

Może o tym nie wiecie, że te samce małpiego rodu nienawidzą mnie haniebnie za to, że im zabieram kiedyniekiedy konie, żeby na nich nie wyprawiali się na wiernych chrześcjan.

C. d. n.

HENRYK SIENKIEWICZ

Na polu chwały.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Z CZASÓW KRÓLA JANA SOBIESKIEGO.

2.

Ciąg dalszy.

Nieco dalej za chłopskimi chatami widać było zabudowania folwarcze, kręgiem wokół dziedzińca stojące — a w głębi dwór, bardzo niekształtny, bo przerobiony przez Cypryanowiczów z dworku, w którym niegdyś mieszkali leśnicy królewscy, ale obszerny, a nawet zbyt obszerny, jak na tak małą osadę.

Z okien jego biło jasne światło, różowiąc śniegi przed szybą, krzewy, rosnące przed domem, i żórawie studzienne, sterczące po prawej stronie obejścia.

Widać stary Cypryanowicz oczekiwał syna, a może i gości z gościńca, którzy wraz z nimi przybyć mogli, zaledwie bowiem karoca dotarła do bramy, na ganek wybiegło kilku pachołków z pochodniami, a za służbą i sam gospodarz w kunim tołubie i łasiczym kołpaku, który zdjął zaraz na widok karocy.

— Jakich-że to miłych gości Bóg nam zesłał na nasze leśne pustkowie? — zapytał zstępując ze schodów ganku.

Młody Cypryanowicz, ucałowawszy rękę ojca, oznajmił kogo przywiózł, a pan Pągowski wysiadłszy z karocy, rzekł:

— Dawno chciałem to uczynić, do czego mnie ciężki termin dziś przymusił, więc tym bardziej błogosławię tej niewoli, która tak exquisita się z wolą moją zgodziła.

— Różne wydarzają się ludziom przygody, ale dla mnie szczęśliwa to przygoda, zaczym z radością proszę do komnat.

To powiedziawszy, pan Serafin skłonił się znów — i podał ramię pani Winnickiej, za którą reszta gromady weszła do domu.

Zaraz na wstępie ogarnęło gości to uczucie zadowolenia, jakie ogarnia zawsze podróżnych, którzy z ciemności i mrozu wchodzą do ciepłych i widnych komnat. Jakoż i w sieni, i w innych pokojach buzował się w przestronnych kaflowych komnatach ogień, a oprócz tego służba poczęła zapalać tu i owdzie jarzące świece.

Pan Pągowski rozglądał się naokół z pewnym zdziwieniem, albowiem zwykłym dworom szlacheckim daleko było do dostatku, który bił w oczy w domu Cypryanowiczów.

Przy blasku ognia i świec widać było we wszystkich pokojach sprzęty, jakich nie znalazłbyś nawet i w niejednym zameczku: skrzynie i krzesła włoskie z rzeźbionego drzewa, tu i owdzie zegar i szkło weneckie, świeczniki odlane z zacnego mosiądzu, broń wschodnią, sadzoną turkusami, a porozwieszaną na dzianych nićmi makatach. Na podłogach miękkie krymskie kilimy, a na dwóch dłużnych ścianach dwa obrazy, który by u każdego magnata mogły stanowić ozdobę komnaty.

— Z kupiectwa im to przyszło — pomyślał z pewnym gniewem pan Pągowski — a teraz mogą się nad szlachtę wynosić i puszyć bogactwy, zdobytymi nie orężem.

Lecz uprzejmość i szczera gościnność Cypryanowiczów rozbroiły starego szlachcica, a gdy w chwilę potym usłyszał brzęk naczyń w przyległej stołowni, udobruchał się zupełnie.

Aby rozgrzać przybyłych z mrozu gości, podano tymczasem gorące wino z korzeniem. Rozpoczęła się rozmowa o minionym niebezpieczeństwie. Pan Pągowski chwalił bardzo młodego Cypryanowicza, że zamiast w ciepłej izbie siedzieć, ratował ludzi na gościńcach, nie bacząc na okrutne mrozy, na trud i niebezpieczeństwo.

— Zaprawdę — mówił — tak dawniej czynili owi sławni rycerze, którzy, jeżdżąc po świecie, bronili ludzi od smoków, od jędzonów i różnych innych bestji.

— Jeśli zaś udało się któremu wybawić jaką cudną królewnę — odrzekł młody Cypryanowicz — to taki był szczęśliwy, jako my jesteśmy w tej chwili.

— Prawda! Żaden cudniejszej nie wybawił! Jak mi Bóg miły! Sprawiedliwie mówi! — zawołali z zapałem czterej bracia Bukojemscy.

A panna Sienińska uśmiechnęła się mile, tak, że na policzkach utworzyły się jej dwa wdzięczne dołeczki — i spuściła oczy.

Lecz panu Pągowskiemu komplement wydał się trochę za poufały, albowiem panna Sienińska, lubo sierota bez majątku, pochodziła jednak z magnackiego rodu — więc odwrócił rozmowę i zapytał:

— I dawno tak waćpanowie jeździcie po gościńcach?

— Od czasu wielkich śniegów, a będziem jeździli, póki mrozy nie popuszczą — odpowiedział młody Stanisław Cypryanowicz.

— I siła-żeście wilków już nabili?

— Starczy dla wszystkich na wilczury.

Tu panowie Bukojemscy poczęli się śmiać tak rozgłośnie, jakby cztery konie rżały, a gdy się nieco uspokoili, najstarszy, Jan, rzekł:

— Będzie król Jegomość rad ze swoich leśników.

— Prawda — odpowiedział pan Pągowski. — A słyszałem, że waćpanowie jesteście nadleśnymi w tutejszej królewskiej puszczy. Ale przecie Bukojemscy pochodzą z Ukrainy.

— My z tych samych.

— Proszę... proszę... dobry ród, Jeło-Bukojemscy... Są tam koligacje nawet z wielkiemi domami...

I z św'ę'ym Piotrem! — zawołał Łukasz Bukojemski.

— Hę? — spytał pan Pągowski.

I począł spoglądać surowo, a podejrzliwie na braci, jakby chcąc zbadać, czy nie pozwalają sobie z niego drwić. Lecz oni mieli oblicza pogodne i z głębokim przekonaniem kiwali głowami, przyświadczając w ten sposób słowom brata. Więc zdumiał się wielce pan Pągowski i powtórzył:

— Krewni świętego Piotra? A to quo modo?

— Przez Przegonowskich!

— Proszę! A zaś Przegonowscy?

— Przez Uświatów!

— A Uświatowie znowu tam przez kogoś — odrzekł już z uśmiechem stary szlachcić — i tak dalej, aż do Pana Chrystusowego narodzenia... Tak!... Dobrze i w ziemskim senacie mieć krewnych, a cóż dopiero w niebieskim... Tym pewniejsza promocja .. Ale jakim-że sposobem zawędrowaliście waćpanowie z Ukrainy, aż do naszej puszczy Kozienieckiej, bo jako słyszałem, to już od kilku lat tu jesteście?

— Od trzech. Ukrainne majętności rebelia dawno już z ziemią zrównała, a potym i granica się tam zmieniła. Nie chcieliśmy w czambułach poganom służyć, więc naprzód sługiwaliśmy wojskowo, potym chodziliśmy dzierżawami, aż wreszcie krewny nasz, pan Malczyński, nadleśniczymi nas tu uczynił.

— Tak — rzekł stary Cypryanowicz. — Aż mi dziwno, żeśmy się tak w tej puszczy obok siebie znaleźli, bo pono wszyscy jesteśmy nie tutejsi, jeno nas zmienność ludzkich losów tu przyniosła. Dziedzictwo waszmości pana (tu zwrócię się do Pągowskiego) też, jako mi wiadomo na Rusi, wedle pomorzańskiego zamku, leży.

Drgnął na to pan Pągowski, jakoby go kto w niezaschłą ranę uraził.

— Miałem i mam tam majętność — rzekł — ale mi obrzydły tamte strony, bo tam jeno nieszczęścia we mnie, jako pioruny, biły.

— Wola Boska — odrzekł Cypryanowicz.

— Pewnie, że próżno w grodzie przeciw niej protestować, ale też i żyć ciężko...

— Waszmość, jak wiadomo, dłuższy czas wojskowo sługiwałeś.

— Pókim ręki nie stracił. Mściłem się krzywd ojczyzny i własnych. A Jeśli pan Jezus odpuści mi jeden grzech za każdą pogańską głowę, to żywię nadzieję, że piekła może nie zobaczę.

— Pewnie, pewnie! I służba zasługa, i boleść zasługa. Najlepiej smutnych myśli poniechać.

— Jabym rad ich poniechał, jeno one nie chcą mnie poniechać. Ale dość o tym. Ostawszy kaleką, a zarazem i opiekunem tej oto panny, przeniosłem się na starość do spokojniejszego kraju, do którego czambuły nie dochodzą i siedzę, jak waszmość widzisz, w Bełczączce.

— Słusznie, i ja tak samo — rzekł Cypryanowicz. — Młodzi, chociaż tam teraz spokojnie, rwą się w nadziei przygód na szlaki, ale przecie okropne i żałobne to strony, w których każdy czegoś opłakuje.

Pan Pągowski przyłożył rękę do czoła i trzymał ją tak przez dłuższą chwilę, poczym ozwał się smutnym głosem:

— Naprawdę to w tamtych stronach może się ostać tylko chłop albo magnat. Chłop dlatego, że gdy przyjdzie nawała pogańska — to umknie w lasy i potrafi tam żyć jako dziki zwierz przez całe miesiące, a magnat, bo ma warowne zamki i własne chorągwie które go bronią... A i to jeszcze!... Byli Żółkiewscy i wyginęli, byli Daniłowicze i wyginęli. Z Sobieskich zginął brat miłościwie nam dziś panującego króla Jana... A iluż

innych!... Jeden z Wiśniowieckich wił się na haku w Stambule... Korecki drągami żelaznymi zabit.. Zginęli Kalinowscy, a przedtym płacili daninę krwi Herburtowie i Jazłowieccy. Poległo też w różnych czasach kilku Sieninskich, którzy drzewiej całą prawie tamtejszą krainą władali... Co za cmentarz! Do ranabym nie skończył, chcąc wszystkich wymienić... A gdyby nietylko magnatów, ale i szlachtę cytować, toby i miesiąca nie było dosyć.

— Prawda! prawda! Ale toż i to człeka aż dziwno, jak Pan Bóg to plugastwo tatarskie i tureckie rozmnożył. Bo przecie i ich tylu tam nabito, że gdy chłop wiosną orze, to mu co krok czerepy pogańskie pod sochą zgrzytają... Miły Boże! ilu ich tam wygniótł choćby dzisiejszy nasz Pan... Na dobrą rzekę krwi by tej starczyło, a oni leżą i leżą!

Była to prawda

Rzeczpospolita, trawiona nierządem i swawolą, nie mogła zdobyć się na potężne armje, które by zdołały w jednej wielkiej wojnie skończyć raz na zawsze z turecko-tatarską nawałą.

Zresztą na taką armję nie mogła się zdobyć cała Europa.

Ale natomiast tę Rzeczpospolitą zamieszkiwał lud zuchwały, który bynajmniej nie poddawał dobrowolnie gardła pod nóż wschodnich najeźdźców. Owszem, na owo straszne, zjeżone mogiłami i zbroczone krwią pogranicze, więc: na Podole, na Ukrainę i Ruś czerwoną, napływały coraz nowe fale polskich osadników, których nietylko nęciła urodzajna ziemia, ale właśnie żądza ustawicznej wojny, bitew i przygód.

„Palacy — pisał stary kronikarz — idą na Ruś dla harców z Tatary [1].“

Płynęli więc chłopi z Mazowsza, płynęła bitna szlachta, której wstyd było „w łożu zwykłą śmiercią umierać“, wyrastali wreszcie na tych czerwonych ziemiach potężni magnaci, którzy, nie poprzestając na odporze w domu, szli nieraz aż hen — do Krymu lub na Wołoszczyznę, szukać tam władzy, zwycięstw, śmierci, zbawienia i chwały.

Mówiono nawet, iż nie chcą polacy jednej wielkiej wojny, aby jej ciągle zażywać. Ale chociaż nie była to prawda, niemniej jednak miła była hardemu plemieniu ciągła zawierucha — i najezdnik krwawo płacił czasem za swą zuchwałość.

Ani ziemie dobruckie, ani białogrodzkie, ani zwłaszcza bezpłodne komysze krymskie nie mogły wyżywić swych dzikich mieszkańców, więc głód gnał ich na bujne pogranicze, gdzie czekał łup obfity, ale równie często śmierć.

Łuny pożarów oświecały tam nieznane w dziejach pogromy. Pojedyncze pułki roznosiły w puch i proch na szablach i kopytach dziesięćkroć liczniejse czambuły. Tylko niezmierna szybkość obrotów ratowała najezdników, w ogóle bowiem każdy czambuł, dognany przez regularne wojska Rzeczypospolitej, był tym samym zgubiony bez ratunku.

Bywały wyprawy, zwłaszcza mniejsze, z których nie wracał do Krymu nikt. Straszne swego czasu były tatarom i turkom imiona Pretwica i Chmieleckiego. Z mniejszych rycerzy krwawo zapisali się w ich pamięci: Wołodyjowski, Pełka i starszy Ruszczyc, którzy od kilkunastu lub kilku już lat spoczywali w mogiłach i sławie. Lecz nawet i z wielkich żaden nie wytoczył tyle krwi z wyznawców Islamu, ile ówczesny król Jan III Sobieski.

Pod Podhajcami, Kałuszem, Chocimem i Lwowem leżały dotychczas niepogrzebione stosy kości pogańskich, od których rozległe pola bieliły się jak pod śniegiem.

Aż wreszcie postrach padł na wszystkie ordy.

Odetchnęło wówczas pogranicze, a gdy i nienasycona potęga turecka łatwiejszych poczęła szukać podbojów, odetchnęła i cała skołatana Rzeczpospolita.

Zostały tylko bolesne wspomnienia.

Daleko od teraźniejszej siedziby Cypryanowiczów, w sąsiedztwie pomorzańskiego zamku, stał na wzgórzu wysoki krzyż z dwiema włóczniami, który wzniósł przed dwudziestu kilku laty pan Pągowski, na miejscu spalonego dworu — więc ilekroć pomyślał o tym krzyżu i tych wszystkich drogich sercu głowach, które na tamtym miejscu utracił, skowyczało w nim jeszcze teraz z bólu stare serce.

Ale że to był człowiek twardy dla samego siebie i dla innych i że się przed obcymi łez wstydził — i taniej litości nie znosił, więc nie chciał dłużej mowić o swoich nieszczęściach — i począł wypytywać gospodarza, jak mu się też żyje na leśnej dziedzinie.

A ów rzekł:

— Ot cisza, cisza! Gdy bór nie szumi i wilcy nie wyją, to ledwie że nie słyszysz, jak śnieg pada. Jest spokój, jest ogień na kominie i dzbaniec grzanego wina wieczorem — starości więcej nie trzeba.

— Pewnie. Ale synowi?

— Młody ptak prędzej, później z gniazda wyleci. A szumią nam tu jakoś drzewa o wielkiej wojnie z pogany!

— Na tę wojnę i siwe sokoły wylecą. Poleciałbym z innymi i ja, gdyby nie to, ot!...

Tu pan Pągowski potrząsnął pustym rękawem, w którym tylko kawałek ramienia przy karku pozostało.

A Cypryanowicz nalał mu wina:

— Za pomyślność chrześcijańskiego oręża!

— Daj-że Boże! Do dna.

Tymczasem młody Cypryanowicz częstował z równie dymiącego dzbana panią Winnicką, pannę Sienińską i czterech braci Bukojemskich. Panie ledwie że dotykały ustami brzegów szklanic, natomiast panowie Bukojemscy nie dali się prosić, skutkiem czego świat wydawał się im coraz weselszy, a panna Sienińska coraz ładniejsza. Więc nie mogąc znaleźć odpowiednich słów na wyrażenie swego zachwytu, poczęli spoglądać na nią ze zdumieniem, sapać i trącać się łokciami.

— Nakoniec najstarszy, Jan rzekł:

— Nie dziwować się wilkom, że chciały kosteczek i mięsa waćpanny popróbować, boć nawet i dzika bestja wie, co prawdziwy specyał!...

A trzej inni Mateusz, Marek i Łukarz, nuż bić się dłońmi po udach:

— Utrafił! w sedno utrafił!

— Specyał! nic innego!

— Marcepan!

Słysząc to panna Sienińska złożyła ręce i udając przestrach rzekła do młodego Cypryanowicza:

— Ratuj-że waćpan, bo widzę, że ichmościowie dlatego jeno mnie od wilków ratowali, aby mnie sami zjedli.

— Mościa panno — odpowiedział wesoło Cypryanowicz — pan Jan Bukojemski mówił: nie dziwować się wilkom! a ja rzeknę: nie dziwować się panom Bukojemskim.

— To już zacznę chyba mówić: „Kto się w opiekę...“

— Jeno nie żartuj z rzeczy świętych! — zawołała pani Winnicka.

— Hej! gotowi ci kawalerowie i ciotuchnę razem ze mną zjeść. Nieprawda.

Ale pytanie to pozostało przez chwilę bez odpowiedzi. Owszem, łatwo było z twarzy panów Bukojemskich wyczytać, że znacznie mniejszą mają do tego ochotę. Jednakże Łukasz, który miał dowcip od braci bystrzejszy, rzekł:

— Niech Jan mówi; on starszy brat.

A Jan zakłopotał się nieco i rzekł:

— Kto tam wie, co go jutro spotka!

— Roztropna to uwaga, — zauważył Cypryanowicz — ale do czego ją waćpan stosujesz?

— Bo co?

— Bo nic: jeno pytam, czemu to o jutrze wspominasz?

— A to waszmość nie wiesz, że afekt gorszy od wilka, gdyż wilka można zabić, a afektu nie zabijesz.

— Wiem, ale to znów inna materja.

— Byle dowcip dopisał, mniejsza o materję.

— Ha! jeśli tak, to Boże dopomóż dowcipowi.

Panna Sienińska poczęła się śmiać w piąstkę, za nią Cypryanowicz, a w końcu i panowie Bukojemscy. Lecz dalszą rozmowę przerwała służka, prosząc na wieczerzę.

Strarszy pan Cypryanowicz podał ramię pani Winnickiej, po nich szedł pan Pągowski, młody zaś Cypryanowicz prowadził pannę Sienińską.

— Trudna dysputa z panem Bukojemskim! — rzekła rozweselona panienka.

— Bo jego racje są jak narowiste konie, z których każdy ciągnie w inną stronę; wszelako, powiedział on dwie prawdy, którym trudno negować.

— Jakaż jest pierwsza?

— Że nikt nie wie, co go jutro spotka, jako i jam nie wiedział, że oczy moje ujrzą dzisiaj waćpannę.

— A druga?

— Że łatwiej wilka zabić niż afekt... Wielka to prawda.

To rzekłszy, westchnął młody pan Cypryanowicz, a panienka spuściła na oczy cieniste swe powieki i zamilkła.

Po chwili dopiero, gdy już zasiadła do stołu, rzekła:

— A waćpanowie prędko przyjedźcie do Belczączki, aby zaś opiekun mógł wam wdzięczność za ratunek i za gościnę okazać.

C. d. n.

[1]) Kromer.

Z ŻYWOTÓW ŚWIĘTYCH.

Ciąg dalszy.

Jeden z takich folwarków trzymał w wieczystej dzierżawie gospodarz węgierski, Czarny Miklos. Pobożny to był człowiek i zapobiegły, ale też miał i folwark cacko!... Leżał ów majątek u stóp góry. Już o milę drogi od folwarku miałeś pan dobrodziej łąkę jak trawnik, a na niej stado owiec, drugie — siwych wołów z krótkimi rogami, trzecie koni gniadych i kasztanowatych. Wszystka ta hołota cały dzień skakała i rżała po łące, trzy razy zbiegając się pod szopę do studni, gdzie ich pojono.

Za łąką rozciągał się niezmierny łan kukurydzy i pszenicy, z poza których już było widać między zielonością dom Miklosa — biały, jak grudka śniegu. A za domem leniwie podnosiła się góra, gdzie miałeś pan dobrodziej: niżej brzoskwinie i winogrona, wyżej jabłonie, grusze i sławne śliwki węgierskie, a jeszcze wyżej — las iglasty.

Był to raj, nie folwark. Wina stamtąd i owoców starczyło klasztorowi na cały rok, a jeszcze drugie tyle Miklos sprzedawał na swój zysk.

Ten pobożny gospodarz miał troje dzieci: najstarszy syn gospodarował z ojcem, średni, także Miklos, był na łąkach przy bydle, a pięcio albo sześcioletnia córeczka bawiła się przy domu.

Najwięcej niepokoju robił ojcu młodszy syn, niesłychany siłacz. Kiedy mając osiemnaście lat, zaczął powalać byki, ojciec poszedł na naradę do Benedyktynów i ci postanowili, ażeby oddał chłopca do wojska, bić Turków. Ale kiedy w dwudziestym roku zadusił starego niedźwiedzia, który nieopatrznie dostał się między owce, stary Miklos przestraszył się. Znowu poszedł do Benedyktynów o radę, a ci uchwalili, ażeby chłopca przyprowadził do klasztoru.

— Taki siłacz — mówił przeor — może zrobić światu dużo złego, albo dużo dobrego. Więc oddaj go asan nam, ażebyśmy czuwali nad jego duszą.

Dostał się zatym młody Miklos do Benedyktynów, gdzie ojcowie ćwiczyli go w pobożności, a ile miał wolnego czasu, kazali mu wiercić studnię w skale, na której wznosił się klasztor. I stało się, że w dziesięć lat chłopak, bez wielkiego utrudzenia, wykuł studnię na sto pięćdziesiąt łokci głęboką, która jest tam do dziś dnia, tylko zasypana. Z tej studni bardzo cieszyli się zakonnicy, bo już mogli wytrzymać każde oblężenie, bez troski o wodę.

O parę mil od klasztoru, na skale jeszcze dzikszej, stał zamek węgierskiego magnata, Geyzy. Był to wielki rabuś i okrutnik, który przez związki z szatanem i czarnoksiężnikami w siedemdziesiątym roku życia trzymał się zupełnie młodo. Przez pół wieku palił, mordował i rabował cały kraj. A gdy wszystkich obdarł, wyniósł się ze swymi pachołkami na turecką granicę, bo tam miał okazję do większych rozbojów i zarobków.

Na nieszczęście dla chrześcijan i klasztoru Benedyktynów, wstąpił na tron turecki jakiś wielki sułtan, Mahmud czy Selim — panowie lepiej powinniście o tym wiedzieć. Ten myślał o zawojowaniu całej Europy, a przedewszystkim tak zabrał się do uporządkowania swego państwa i granic, że nawet Geyza, ścigany przez janczarskie pułki, uprzykrzył sobie tureckich kupców i przeszedł do Siedmiogrodu.

Banda Geyzy mocno uszczuplała w ciągłych bojach, a on sam poczuł już drugą starość na grzbiecie. Gdy więc wrócił do swego zamku i z czarnoksiężnikami odprawił Czarną Mszę, szatan powiedział mu, że lekarstwo na swoje kłopoty znajdzie w domu Miklosa.

Pojechał tam Geyza ze świtą, łupiąc po drodze co się dało. A gdy spotkał starego Miklosa, który w tej porze pilnował zbioru winogron na wino mszalne, rzekł mu:

— Hej! chamie... Albo mi dasz swego syna siłacza do świty, albo córkę, o której słyszę, że ma lat szesnaście i jest jeszcze niewinna. Widziałem już syreny śpiewające w morzu, smoki ogniem ziejące, byeny z ludzkimi głowami. Alem jeszcze nie spotkał chłopca, który łamie kości niedźwiedziom, ani szesnastoletniej dziewczyny niewinnej.

Tak prawił bezbożnik. A na to mu stary Miklos:

— Syn mój, cham czy nie cham, jest u Benedyktynów poświęcony Bogu, więc prawuj się jaśnie wielmożny pan z Bogiem o niego. A córki nie dam, choćby przyjechał po nią sam Rakoczy.

Po takiej odpowiedzi zbrodniarz Geyza trzasnął starca czekanem w głowę i zabił na miejscu. Starszego syna, który porwał się z pałaszem, kazał wbić na pal; podłożył ogień pod dom i spalił w nim żonę Miklosa Czarnego, a niewinną córkę porwał do zamku.

I wiecie panowie dobrodzieje, co z nią zrobił? Odprawił drugą Czarną Mszę, dziewczynę pod ołtarzem szatana zarżnął, jak owcę, i... wypił jej krew, ażeby znowu odmłodnieć... Co się też stało, na chwilowy tryumf szatana, a zawstydzenie świętej wiary...

Tymczasem młody Miklos był wciąż w klasztorze i, dzięki pracy ojców Benedyktynów, rósł w pobożności. Lecz, mocny w ramionach, był słaby w naukach duchownych; więc zamiast wielu mądrych przepisów, świętobliwy przeor zaszczepił w nim jedno, ale największe przykazanie.

„Miłujcie nieprzyjacioły wasze; czyńcie dobrze tym, którzy was nienawidzą".

Kiedy wieść o wymordowaniu rodziny Miklosa Czarnego doszła do klasztoru, młody Miklos zaczął tak jęczeć, że ojcowie w dzień ani w nocy spokoju nie mieli; a tak bił głową o mury, że można było lękać się o całość warownej świątyni. Wtedy bogobojny przeor wezwał go i rzekł:

— Mój synu! widzę, że zakonnikiem nie będziesz. Ale i w stanie świeckim możesz osiągnąć Królestwo Niebieskie, jeżeli podejmiesz się roboty, którą ci wyznaczę, i będziesz troskliwie wypełniał przepis: „Miłujcie nieprzyjacioły wasze; czyńcie dobrze tym, którzy was nienawidzą."

I opowiedział mu świątobliwy przeor, gdzie ma iść i co ma robić. Przypomniał mu również, aby połowę tego, co zarobi, wiernie kościołowi oddawał. Potym udzielił mu błogosławieństwa i opatrzył na drogę, a gdy Miklos opuścił Benedyktynów, zawiadomił Geyzę, że chłopca już niema w klasztorze. Bo Geyza, bezbożnik, niedość mając krwi Miklosa Czarnego, jeszcze dopytywał się o żyjącego

syna i groził klasztorowi najazdem, gdyby mu z dobrej woli nie oddano siłacza.

Wyszedłszy z klasztoru, Miklos wstąpił na ruiny folwarku ojca i, trzy dni leżąc krzyżem na zgliszczach, wylał tyle łez, że w tym miejscu trysnęło źródło, które jest po dziś dzień, ale nikt z niego wody nie pije, gdyż jest gorzka i piecze wnętrzności. Wypłakawszy się zaś, poszedł w góry i jak radził mu świątobliwy przeor został przewodnikiem na najniebezpieczniejszej drodze.

Powinniście wiedzieć panowie, bom ja nieuczony zakonnik, że w owych czasach między Turcją i Węgrami stały dwa pasma gór, niby dwa mury, zabezpieczające świat chrześcjański od pogan. Między pasmami leżała górska dolina, na którą i od strony Turcji i od Węgier trzeba było wdrapywać się bardzo ciasnymi wąwozami na wysokość dwudziestu wież kościelnych.

Szczególniej od strony Węgier wejście było okropne. Widzisz ciasny kurytarz, którego środkiem płynął bystry potok, jednego dnia tak płytki, że człowiek ledwie podeszwy w nim zamoczył, a na drugi raz tak pełny wody rozhukanej, że niosła kamienie wielkości pieca.

Tym kurytarzem, między gładkimi i ciemnymi skałami, które zdawały się do nieba sięgać, szedłeś z tysiąc kroków i spotykałeś przed sobą znowu gładką ścianę niezmierzonej wysokości, ze szczytu której lał do wąwozu ryczący wodospad. W tym miejscu od huku wody i zadzierania głowy, najmężniejsi doznawali zawrotu i nikt nie myślał o wdrapywaniu się na dolinę, która leżeła na dwadzieścia wież wysoko.

Dopiero bystre oko pasterzy górskich wyśledziło, że w prawej ścianie wąwozu jest jakby wisząca ścieżka. Ciągnęła się ona, nie szersza od gzymsu w kościele, z początku nizko, potym wyżej, a potym już strasznie wysoko, ponad kipiącą w dole wodą, aż do hali, przed którą można było przejść za granicę turecką. Pasterze, myśliwcy i ścigani zbiegowie, szli po tym gzymsie napowietrznym, modląc się i zamykając oczy. Ale z pomiędzy nieoswojonych ludzi większa część nie mogła przetrzymać widoku okropnej przepaści i dobrowolnie rzucali się z gzymsu w otchłań.

Na tej ścieżynie, za poradą bogobojnego przeora, siłacz Miklos został przewodnikiem. Ilu przeprowadził zbiegów i kupców, za ile miljonów przeniósł drogocennego towaru — nikt nie obliczy. Dosyć, że wieść o przewodniku prędko obiegła Węgry i ruch podróżnych przez zawrotną ścieżkę wzmógł się bardzo. Jaka zaś była wdzięczność ludzka, dowód w tym, że po trzech latach ojcowie Benedyktyni wybudowali srebrny ołtarz z ofiar tych, co przechodzili ścieżką, bo pobożny Miklos zarobek oddawał zakonowi.

Pewnego dnia (było to w pięć lat po opuszczeniu klasztoru) bogobojny przewodnik Miklos wyszedł o świcie z jaskini, gdzie zamieszkiwał, na brzeg wąwozu, oczekiwać podróżnych, którzyby posług jego potrzebowali. I, niedaleko strasznej ścieżki, ujrzał wśród lasu dwa konie, parę okutych skrzynek, tudzież podróżnego, który twardo spał pod drzewem.

Już Miklos schylił się, aby zbudzić śpiącego, gdy wtym ktoś trącił go w ramię. Miklos odwrócił się i zobaczył chudego człowieka w czarnym odzieniu, ze śniadą twarzą i nadzwyczaj bystrymi oczyma.

— Wiesz ty—zapytał Miklosa śniady człowiek,—wiesz, kto jest ten śpiący?...

— Pewnie jakiś nieszczęśliwy, który przez moją ścieżkę musi udawać się do Turcji—odpowiedział Miklos.

Śniademu człowiekowi jeszcze mocniej błysnęły oczy.

— To jest—mówił powoli śniady człowiek—to jest jaśnie wielmożny Geyza...

Miklos osłupiał. Nagle krew uderzyła mu do głowy. Porwał ogromny kamień i rzucił się do śpiącego. Lecz gdy podniósł ciężar, przyszły mu na myśl słowa, które powtarzał przy każdej ciężkiej pracy:

„Miłujcie nieprzyjacioły wasze".

— Walże go!...—szepnął śniady człowiek.—To Geyza, który zabił twego ojca...

— Czyńcie dobrze tym, którzy was nienawidzą—myślał pobożny Miklos i opuścił ręce.

— Pił krew twojej siostry... wbił na pal brata... Teraz zrabował klasztor i z klejnotami ucieka do Turcji!.. — szeptał ten śniady.

— Panie!... ku ratunkowi memu pokwap się...—rzekł Miklos, nie wiedząc, co począć.

Chudy człowiek odskoczył i zawołał:

— Nie gadaj głupstw, ty klasztorny wywłoko, tylko rozbij łeb temu, który wymordował ci całą rodzinę!...

— Miłujcie nieprzyjacioły wasze...—powtarzał Miklos, którego niewielu modlitw nauczono w klasztorze.

Czarno ubrany człowiek zazgrzytał zębami i, ścisnąwszy pięści, rzekł:

— Głupia pało benedyktyńska! cały świat krwawymi łzami zapłacze na niego i na ciebie, jeśli puścisz go żywym...

Spojrzał z nienawiścią na Miklosa i skrył się między drzewami.

W tej chwili obudził się Geyza. Usiadł, ziewnął, przetarł oczy i, zobaczywszy Miklosa, spytał:

— Ty jesteś przewodnik?

— Ja jestem przewodnik Miklos, jak pan jesteś jaśnie wielmożny Geyza, rabuśnik i morderca...

Magnat zerwał się, ścisnął szablę w ręku i krzyknął:

— Zdaje mi się, że łżesz, chamie! Bo gdybyś był Miklosem, zadławiłbyś mnie, kiedym spał...

— Jestem Miklos, Boży sługa, i spełniam wolę Pana mego, który kazał miłować nieprzyjacioły, a czynić dobrze tym, co nas nienawidzą...

Geyza roześmiał się.

— Jeżeli tak nakazał ci twój pan, to powinieneś mnie przeprowadzić żywego i zdrowego przez tę ścieżkę.

— Przeprowadzę...

— A uważaj!... bo mi się kręci w głowie...

— Będę uważał...

To może i przeniesiesz moje kufry?—spytał Geyza.

— Przeniosę...

Włożył sobie na plecy bogobojny Miklos kufry, napełnione benedyktyńskimi klejnotami, pod których ciężarem uginały się konie, i rzekł:

— Idźmy, panie.

C. d. n.

ADAM MICKIEWICZ.

Lilje.

(Z PIEŚNI GMINNEJ.)

C. d.

Pani ze strachu zbladła,
Zemdlała i upadła
Oczy przewraca w słup,
Z trwogą dokoła rzuca,
„Gdzie on? gdzie mąż? gdzie trup?“
Powoli się ocuca,
Mdlała niby z radości
I pytała u gości:
„Gdzie mąż, gdzie me kochanie?
Kiedy przedemną stanie?“

— „Powracał razem z nami,
Lecz przodem chciał pośpieszyć,
Nas przyjąć z rycerzami
I twoje łzy pocieszyć.
Dziś, jutro pewnie będzie,
Pewnie kędyś w obłędzie
Ubite minął szlaki.
Zaczekajmy dzień jaki,
Poślemy szukać wszędzie,
Dziś, jutro pewnie będzie.“

Posłali wszędzie sługi,
Czekali dzień i drugi;
Gdy nic nie doczekali,
Z płaczem chcą jechać dalej.

Zachodzi drogę pani:
„Bracia moi kochani,
Jesień zła do podróży,
Wiatry, słoty i deszcze,
Wszak czekaliście dłużej,
Czekajcie trochę jeszcze.“

Czakają. Przeszła zima,
Brata niema i niema.
Czekają; myślą sobie:
Może powróci z wiosną?
A on już leży w grobie,
A dad nim kwiatki rosną,
A rosną tak wysoko,
Jak on leży głęboko.
I wiosnę przeczekali,
I już nie jadą dalej.

Do smaku im gospoda,
Bo gospodyni młoda.
Że chcą jechać udają,
A tymczasem czekają,
Czekają aż do lata,
Zapominają brata,

Do smaku im gospoda
I gospodyni młoda.
Jak dwaj u niej gościli,
Tak ją dwaj polubili.
Obu nadzieja łechce,
Obadwaj zdjęci trwogą;
Żyć bez niej żaden nie chce,
Żyć z nią obaj nie mogą.
Wreszcie, na jedno zdani,
Idą razem do pani.

„Słuchaj, pani bratowo,
Przyjm dobrze nasze słowo.
My tu próżno siedzimy,
Brata nie zobaczymy.
Ty jeszcze jesteś młoda,
Młodości twojej szkoda.
Nie wiąż dla siebie świata,
Wybierz brata za brata.“

To rzekli i stanęli·
Gniew ich i zazdrość piecze,
Ten to ów okiem strzeli,
Ten to ów słówko rzecze;
Usta sine przycięli,
W ręku ściskają miecze.

Pani ich widzi w gniewie,
Co mówić, sama nie wie,
Prosi o chwilkę czasu,
Bieży zaraz do lasu,
Bieży w dół do strumyka,
Gdzie stary rośnie buk,
Do chatki pustelnika.
Stuk stuk, stuk stuk.
Całą mu rzecz wykłada,
Pyta się, co za rada?

— „Ach, jak pogodzić braci?
Chcą mojej ręki oba,
Ten i ten się podoba,
Lecz kto weźmie? kto straci?
Ja mam maleńkie dziatki
I wioski, i dostatki.
Dostatek się zmitręża,
Gdy zostałam bez męża.
Lecz ach! nie dla mnie szczęście!
Nie dla mnie już zamężcie!
Boża nademną kara,
Ściska mię nocna mara.
Zaledwie przymknę oczy,
Traf, traf, klamka odskoczy;
Budzę się, widzę, słyszę,
Jak idzie i jak dysze,
Jak dysze i jak tupa...
Ach, widzę, słyszę trupa!“
Skrzyp, skrzyp i już nad łożem,
Skrzywionym sięga nożem,
I iskry z gęby sypie,
I ciągnie mnie, i szczypie.
Ach, dosyć, dosyć strachu,
Nie siedzieć mi w tym gmachu,
Nie dla mnie świat i szczęście,
Nie dla mnie już zamzcie!“

— „Córko! — rzecze jej stary
Niemasz zbrodni bez kary;
Lecz jeśli szczera skrucha,
Zbrodniarzów Pan Bóg słucha.
Znam ja tajnie wyroku,
Miłą ci rzecz obwieszczę;
Choć mąż zginął od roku
Ja go wskrzeszę dziś jeszcze.“

— „Co, co? jak, jak? mój ojcze!
Nie czas już, ach, nie czas!
To żelazo zabojcze
Na wieki dzieli nas!

D. n.

Pod bramą Warszawskiej cytadeli

(Korespondencja „Ameryki-Echa".)

Maleńki lasek odległy o minut dwie od bramy Konstantynowskiej.

Jak okiem z tej strony rzucić, dokoła forty i forty, a na nich armaty ustawione licznie, skierowane do mordowania żyjącej ludzkości — a przy nich i dalej żołnierze z karabinami, z jadem zaszczepionym w duszy, z bezmyślnym idjotyzmem w twarzy, gotowi na rozkaz caratu strzelać do bezbronnej ich braci robotniczej.

Już od godziny dziewiątej z rana zaczęły nadciągać rodziny, przyjaciele i krewni uwięzionych w murach cytadeli.

Był to bowiem wtorek. W dzień ten jest dozwolone dostarczanie bielizny i żywności dla więźniów.

Do cytadeli, od bramy Konstantynowskiej nie wpuszczają nikogo z obcych, brama jest obwarowana silnie i służy jedynie dla wejścia i wyjścia załogi fortecznej. Przybysze więc rozłożyli się obozem w lasku, oczekując chwili, w której nadejdzie wóz z fortecy i pozabiera do jej obrębu przyniesione pakunki.

Gromada przybyłych liczniejsza dzisiaj, niż zazwyczaj — siedzą na trawie kobiety, drobne dzieci, dalej skupieni w gromadkę mężczyźni rozmawiają półgłosem. Z boku jakaś staruszka ukryła twarz w dłonie i płacze cicho, rzewnie.

— Kogoż pani tam ma w cytadeli?

Odjęła ręce od spłakanej twarzy i wykrzyknęła z rozpaczą:

— Wnuka! Jedynego wnuka!... sierotę.. wychowanego przezemnie od kołyski, jedyne dziecko po córce.

— Czy dawno wzięty?

— Przedwczoraj, w niedzielę, w nocy aresztowano wszystkich pracujących w fabryce "Wulkan" — i mój wnuk tam pracował.

— Czy znaleziono przy nim proklamacje lub broń?

Potrząsła głową przecząco, ale łkanie tłumione nie pozwalało jej mówić dalej.

Obok siedzące kobiety spoglądają ku niej ze łzami i spółczuciem, każda dławiona smutkiem, każda przeżywa nieszczęście własne.

Obok niej jakaś kobieta z martwą w twarzy rozpaczą.

— A pani kogoż tam ma?

A syna... toż jedynaka... lat dziewiętnaście.

— Dawnoż aresztowany?

— W niedzielę, pracuje w fabryce "Wulkan," w nocy go wzięgnęli. Przyszło po niego sześciu żołdaków z karabinami, przetrząsali całe mieszkanie przy rewizji, nie znaleźli jednakże nic.

Płacz jej cichy zamienia się w rozpaczne, spazmatyczne łkanie.

— Niechże pani się nie martwi, wyjdzie wolny niezadługo, jeśli nie znaleziono przy rewizji nic.

— Tak... ale przy rewizji pomocnik komisarza uderzył go w twarz, a przecież w nim natura polska, krew nasza polska płynie, nie mógł znieść tej obrazy — oddał mu zaraz na miejscu, aż dwa razy, w oba policzki. Komisarz kazał go zaraz za to zbić kolbami, pokłuć bagnetami i na pół żywego, wozem więzienno-szpitalnym wywieziono go z domu. Gdy go bito, rzuciłam się ku niemu w obronie, zasłaniając go, ale mnie odepchnięto, a komisarz mówił, że tylko łzy moje ocalają go, bo miał prawo zabić na miejscu jak psa.

Boleść, miłość, tęsknota i żal matki, wszystko widnieje na jej zalanej łzami twarzy; tu niepodobna nieść pociechy, tu czas tylko może przynieść ulgę i strawić ten ból szalony.

—Rewolucja zapłaci im za te łzy nasze i krzywdę naszą — odezwała się w tej chwili jakaś podeszła już w wieku kobieta, nakryta chustą.

— A pani kogo tam ma?

— Ja mam tam pięciu synów i jedną córkę, wszystko co mam na świecie tam siedzi... za tymi murami.

Ręką suchą wskazała ku widniejącym budynkom więziennym. Oczy miała suche, z błyskami nienawiści, którą wyrobiło nieszczęście

— Dawnoż uwięziono dzieci pani?

— Dwóch siedzi od roku, dwóch od stycznia, a ostatni wzięty pozawczoraj w nocy.

— Z fabryki "Wulkan"?

— Nie... z fabryki "Labor." Aresztowani wszyscy, którzy tam pracowali. Jakiś szpicel denuncjował.

— A córka?

— Córka nazwała szpiclem tego, który rewidował nasze mieszkanie, za to ją wzięto.

— Więc pani sama pozostała w domu?

— Sama... z mężem, który prawie zawsze chory na reumatyzm. Był mularzem, a pracować musiał przy budynkach, w czasie słoty i zimną, po godzin kilkanaście, tak i zrujnował na nic zdrowie, — dziś żyje, ale jest kaleką.

— Mularze pracują przecież godzin ośm.

— Tak... teraz, kiedy im socjaliści wyrobili te prawa. Dawniej pracowali po godzin czternaście, a zarabiali tak marnie, że u nas w domu brakło czasami suchego chleba.

— Z czegoż więc obecnie żyjecie?

— Ja chodzę do prania, córka chodziła do szycia. Pracuję, póki mogę; gdy zbraknie sił, trzeba umierać z głodu... Do żebraniny jam się nie urodziła. Nie wyciągnęłabym ręki, chociażbym konała i tygodnie śmiercią głodową.

W twarzy jej widna była duma połączona z goryczą.

— Czy synowie wasi z wiedzą waszą należeli do rewolucji?

— Nim ci dwaj byli wzięci, jam im wzbraniała, bojąc się ich nieszczęścia. Gdy tych dwóch zabrano w drodze do cytadeli, jednemu wybito bagnetem oko, a drugiemu uderzeniem kolby złamano obojczyk. Jam obumarła z żalu i patrzałam cicho, jak ci drudzy w dnie październikowe i listopadowe byli wszędzie najpierwsi. Gdy drugich dwóch zabrano w styczniu, tego ostatniego i córkę jam do rewolucji parła, ja ich namawiałam, jam roznosiła proklamacje i gazety, ja bym z nimi stanęła na barykadach.

Przez tę kobietę-bohaterkę przemawiała nieszczęśliwa matka, co traciła wszystko i łaknęła zemsty za swe cierpienia, za krzywdę swych dzieci.

D. n.

OKOLICZNOŚCI ŁAGODZĄCE.

Adwokat: — Pańska sprawa, panie Słowik, jest bardzo zła; jesteś pan oskarżony o sprzedanie dwudziestu łokci skradzionej materji... Masz pan za sobą jakie okoliczności łagodzące?

Klient: —Z przeproszeniem pana mecenasa, co to jest okolicznośei łagodzące?

Adwokat: — No, naprzykład, gdybyś pan sprzedał tylko parę... kilka łokci, a nie aż dwadzieścia.

Klient (po namyśle): — Mam już go, mam okoliczności!... Pan mecenasz potrzebuje wiedzysz, co łokiecz w moim sklepie ma tylko trzci czwerci, to będzie rychtig!

HUMOR REWOLUCYJNY.

Z ROZMÓW WARSZAWSKICH!

— A syn sąsiadki gdzie?

— W cytadeli. Odsiaduje konstytucję.

——

— Z czego pan żyje?

— Z browninga.

— Ile pan zarabia?

— Sto rubli dziennie.

——

— Czy pan pracuje w swoim interesie?

— Nie, w cudzych

——

— Co to?

— Synek naszej pani. Tylko co się narodził.

— A pozwolenie z cyrkułu na to było?

MAŁA RÓŻNICA.

— Jaka jest różnica między projektami praw, redagowanymi w Dumie, a przez ministrów?

— Bardzo mała: Wszystko w obydwóch projektach jest zupełnie identyczne, tylko to, co w prawach Dumy jest tak, u ministrów nie.

Z DZIEDZINY MODY.

Jak donoszą z Warszawy, najmodniejszym garniturem męskim na sezon 1907, będzie marynarka z wyciętym z tyłu kwadratowym oszklonym otworem, wewnątrz którego widnieć będzie paszport.

NICZEWO!

Adjutant: — Najjaśniejszy carze! Nowe nieszczęście! Zbuntował się pułk wyborski!

Car: — A cóż mię to obchodzi? Zameldujcie cesarzowi niemieckiemu, który jest jego szefem!

NOWY GABINET MINISTRJALNY.

Pan Stupajka.
Pan Wieszatiel.
Pan Nahajka.
Pan Donoszczyk.
Pan Knut.
Pan Pulemjot.
Pan Wziatocznikow.